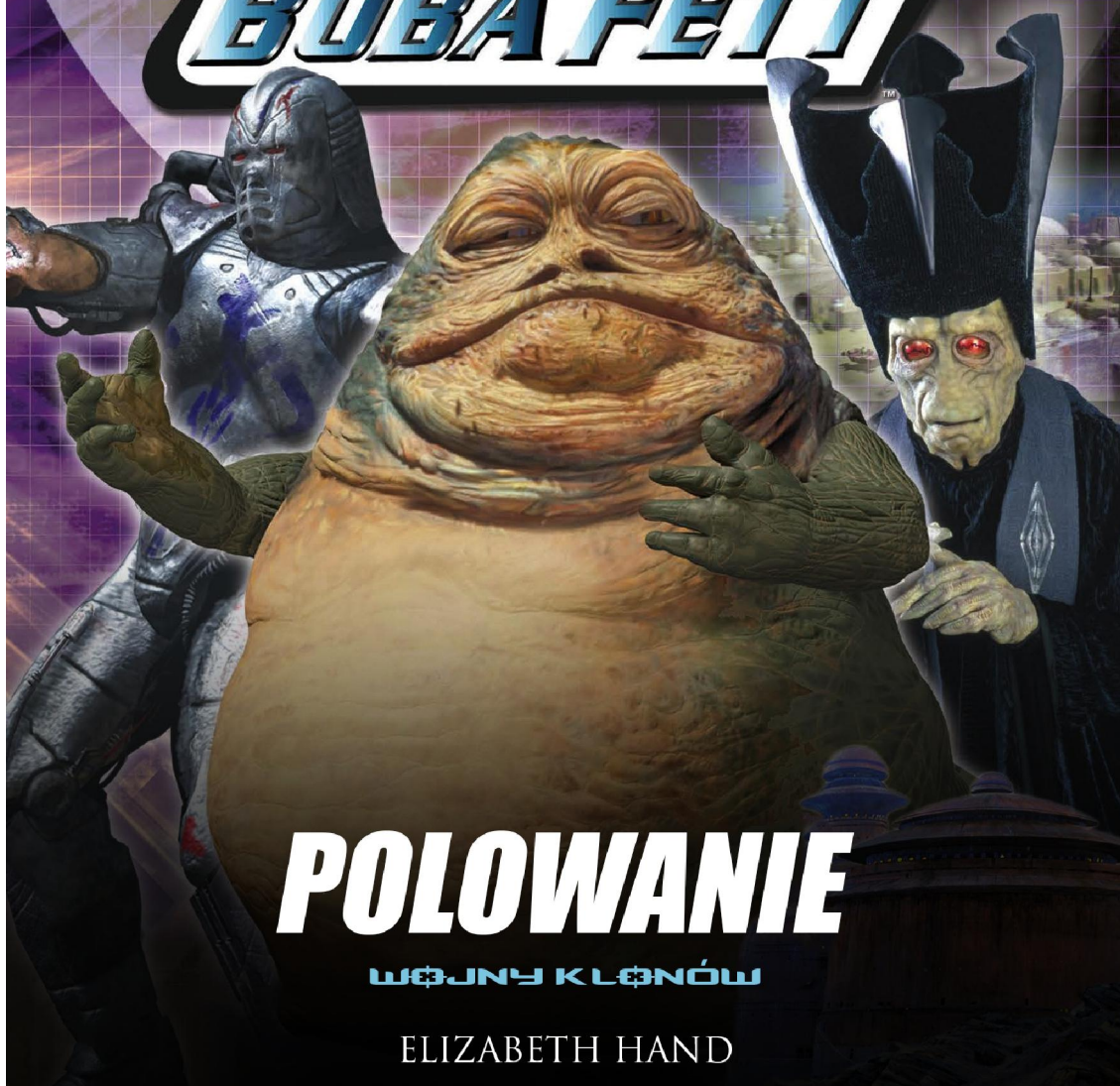


PRZYBLIŻAJĄC LEGENDY

**STAR
WARS**

BOBA FETT



Gwiezdne Wojny
Boba Fett: Polowanie
Tytuł oryginalny: Boba Fett: Hunted
Autorzy: Elizabeth Hand
Wydawnictwo: Scholastic
Tłumaczenie: Sharon, X-Yuri
Korekta: Sharon
Polska wersja okładki: Teesel
Koordinacja projektu: X-Yuri
Tłumaczenie stanowi część projektu „Przybliżając legendy”.

Rozdział 1

Niektórzy ludzie wierzą, że przestrzeń jest pusta. Ojciec Boby Fetta, Jango, był jednym z takich ludzi.

- Przestrzeń jest pustką. - mówił synowi - A pustka jest bezużyteczna, dopóki nie zostanie wypełniona pracą, energią, ludźmi albo statkami. Dobry łowca nagród czasami może wydawać się niewidzialny. Wie jednak, jak wykorzystać przestrzeń wokół siebie. A skoro wykorzystuje tę przestrzeń, to nie jest ona pusta.

Boba nie uważał jednak, że przestrzeń jest pusta. Wpatrując się w przestrzeń otaczającą jego statek, *Slave'a I*, pomyślał, że przestrzeń była pełna, wspaniała i piękna. Wszędzie były planety i gwiazdy. Widział dalekie rozbłyski zieleni, złota lub czerwieni, które mogły być mgławicami, galaktykami lub ogromnymi statkami.

Mimo wszystko, zgadzał się z ojcem w jednym: obojętne, czym była międzygalaktyczna przestrzeń, musiał wykorzystać ją jak najlepiej.

- Zbliżasz się do celu. - poinformował go chłodny głos kontroli *Slave'a I*. - Zbliżasz się do Tatooine.

Boba pochylił się do przodu i przesunął dłonią po konsoli pilota *Slave'a I*. Jego palce dotykały przycisków, przełączników i wrażliwych na dotyk pomocy nawigacyjnych. Uśmiechnął się. Był częścią tej całej złożonej przestrzeni statku... Jego statku, od śmierci jego ojca.

Kilka dni temu, na planecie Aargau, Boba odzyskał *Slave'a I*, którego ukradła Aurra Sing, sławna łowczyni nagród.

Aargau była bankiem całej galaktyki. To właśnie tam Boba odzyskał to, co pozostało z fortuny jego ojca. Kredytów starczyło jedynie na wyposażenie *Slave'a I* na tą podróż.

- Przewidywany czas do lądowania 01200 mesarków. - oznajmił komputer - Naruszono przestrzeń powietrzną planety.

Tatooine... Boba Fett spojrział na planetę przed sobą. Była ogromną kulą koloru kości, pokrytą tu i ówdzie ciemnym brązem i bielą. W oddali, pomarańczowym blaskiem świeciły dwa bliźniacze słońca. Wyglądały jak demoniczne oczy patrzące prosto na niego.

Nie. Przestrzeń na pewno nie była pusta.

Znów pochylił się do przodu i wstukał do komputera kilka poleceń. Z głuchym hukiem *Slave I* przebił się przez atmosferę pustynnej planety i zaczął pędzić w stronę jej powierzchni. Bliźniacze słońca zmniejszyły się i zrobiły się nieco ciemniejsze, jednak nadal wyglądały złowieszczo. Boba spojrział na pustynny świat i skrzywił się.

"*To na pewno nie jest miejsce, w którym chciałbym spędzić dużo czasu*". - pomyślał.

Burze piaskowe, morze wydm, dotknięte suszą kaniony, farmy wilgoci i nieznośne ciepło. Z tego, co słyszał, przestrzeń Tatooine wypełniona była wieloma strasznymi rzeczami. *Przypomnij mi więc, dlaczego tu przyleciałem?*

Boba uśmiechnął się ponuro. Znał dobrze odpowiedź na to pytanie.

Jego ojciec, Jango, został zabity przez rycerza Jedi Mace'a Windu. Jednak będąc największym łowcą nagród w galaktyce (największym, zdaniem Boby), Jango żył, wiedząc, że każdego dnia może umrzeć.

I kochał swojego syna. Aby przygotować Bobę na najgorsze, Jango zostawił mu książkę, która zawierała informacje, porady i wskazówki, napisane słowami Jango. Czasem w książce pojawiał się również wizerunek ojca Boby.

- Trzymaj się tej książki - mówił wizerunek - Miej ją blisko siebie. Otwieraj ją, gdy będziesz jej potrzebować. Będzie cię prowadziła, kiedy ją będziesz czytał. To nie jest historia, lecz Droga. Podążaj tą Drogą, a pewnego dnia będziesz wspaniałym łowcą nagród.

Było to coś, czego Boba pragnął najbardziej na świecie... Być wielkim łowcą nagród, jak kiedyś jego ojciec. By wiedzieć, że ojciec byłby z niego dumny.

Czasami, późno w nocy, kiedy był sam i przeglądał książkę, udawał, że jego ojciec wciąż gdzieś żyje.

Ale nigdy nie potrafił długo tak udawać.

Teraz książka spoczywała w jego kieszeni. Boba nie musiał na nią patrzeć. Znał poradę dotyczącą Tatooine.

- Po wiedzę musisz się udać do Jabby. - mówiła książka - On ci jej nie da; musisz ją zabrać.

Hutt Jabba! Jeden z najbardziej znanych gangsterów i bossów przestępczych w galaktyce! I najbardziej znany obrzydliwy mieszkaniec Tatooine.

To właśnie Jabba był powodem, dla którego Boba wylądował w tym odludnym i opuszczonym miejscu.

Boba znalazł już Tyranusa. Było to przed tym, jak Boba skończył na Aargau. Tyranus był agentem, który wybrał Jango Fetta jako pierwowzór republikańskiej armii klonów.

Ale Tyranus był również Hrabią Dooku, przywódcą separatystów - wrogów Republiki. I tylko Boba wiedział, że te dwie osoby tak naprawdę były jedną.

- Wiedza jest potęgą - mówił mu ojciec. - Ale nawet potęga wiedzy może być ograniczona.

Po wiedzę musisz się udać do Jabby. On ci jej nie da; musisz ją zabrać.

Boba uciekł Aurrze Sing z Aargau, ale aby przetrwać, potrzebował więcej kredytów. Potrzebował więcej mocy. Potrzebował więcej wiedzy.

Wziął głęboki oddech, po czym wprowadził do komputera współrzędne Mos Espy, tętniącego życiem portu kosmicznego na Tatooine.

- Przygotować się do lądowania. - powiedział do statku i do siebie.

Nienawidził się do tego przyznawać, ale potrzebował Jabby.

Rozdział 2

- Planety są jak ludzie. - zwykł mawiać ojciec Boby. - Mają własne osobowości.

Do tej pory te słowa dla Boby nie miały sensu. Teraz jednak przekonał się, że są prawdziwe.

Kamino, jego rodzinny świat, było szare i ponure, pokryte chmurami, z których padało czasem przez miesiące. Kaminoanie byli jak ich planeta. Byli chłodni, pozornie niezmienni i dobrze wychowani... Mieli jednak obsesję na punkcie kontroli. Byli idealnymi nadzorcami tworzonej armii klonów.

Aargau, którą rządził Międzygalaktyczny Klan Bankowy, była ściśle uporządkowana... Jednak tylko na powierzchni. Pod zorganizowaną powierzchnią istniał chaos podziemnego miasta. Tam wszystko mogło się zdarzyć.

Wreszcie Tatooine...

Kiedy *Slave I* obniżył lot, Boba spojrział na kosmoport pod nim. Była to zbieranina kopuł, miejsc rozrywki i jaskiń hazardu. Widział niskie, długie magazyny i zardzewiałe wierzchołki wież kontroli lotu. Widział tory wyścigowe, koloseum i złomowisko. Jednak największy ze wszystkiego był ogromny plac, od którego ścigacze rozpoczynały swoje wyścigi, zanim znalazły się na pustyni.

Wszystko pokryte było grubą warstwą pyłu. Ciągące się budynki Mos Espy wyglądały, jakby przesuwaly się po piaszczystej pustyni jak gigantyczne robaki, by w końcu upaść, zbyt wyczerpane, by iść dalej. Poza granicami portu kosmicznego rozciągał się rozległy obszar morza wydm, pustkowi pokrytych piaskiem, kurzem i wyrzeźbionymi przez wiatr skałami.

Boba pomyślał z ponurym rozbawieniem, że jeśli Tatooine posiadała osobowość, to była ona niezwykle mieszkanką.

Slave I spłynął wolno nad siecią doków. Stąd wyglądały jak kratery najeżone urządzeniami kontrolnymi i naprawczymi. Wokół nich, jak mrówki, poruszały się droidy. Boba rozejrzał się, oceniając, która zatoka dokująca będzie najbezpieczniejsza. Ledwo wystarczało mu kredytów na opłaty za dokowanie, a co dopiero za zatankowanie. Nie będzie miał więcej pieniędzy, dopóki nie spotka się z huttem Jabba.

"*Co zrobiłby mój ojciec*"? - pomyślał.

I nagle już wiedział.

Włożył mandaloriański hełm ojca, który, jak z satysfakcją zauważył, pasował lepiej niż jeszcze kilka miesięcy temu. Poczł delikatne ciepło, kiedy czujniki hełmu skanowały jego siatkówkę, a później uspokajający szum, kiedy systemy go rozpoznały.

Przeszukał banki pamięci *Slave'a I*, by określić ostatecznie miejsce, w którym dokował Jango Fett. Komputer nawigacyjny poinformował go, że doki należały do Mentisa Qinxa.

Boba wpisał współrzędne i odchylił się w fotelu pilota. Statek przechylił się gładko, niczym płynąca woda. Zaczł opadać w labirynt zniszczonych wież otaczających duży i bardzo poobijany hangar.

Boba uśmiechnął się i poprawił mandaloriański hełm. Sprawdził, czy książka nadal była w jego kieszeni. Kilka minut później *Slave I* wylądował w Mos Espie.

Zrobił to... Ale to był dopiero początek. Musiał znaleźć Jabbę.

Boba postanowił pozostać w hełmie, przynajmniej na razie. Dzięki temu nikt nie dowie się, jaki jest młody. Ubrany był w standardowy mandaloriański mundur - szaroniebieską tunikę, spodnie, ciemniejszą koszulę i wysokie, czarne buty. Z hełmem zasłaniającym jego twarz, mógł uchodzić za kogoś niskiego wzrostu. Mógł być fizykiem mrlssi, bimmem-kupcem albo sullustańskim pilotem.

Nikt nie musiał wiedzieć, że był jeszcze dzieckiem.

Odchrząknął i sprowadził *Slave'a I* prosto do doku.

Powietrze Tatoonie uderzyło go niczym pięść. Było gorące i suche, w dodatku nasycone piaskiem i pyłem, którego smak, mimo hełmu, mógł poczuć na języku. Kilka metrów dalej małe droidy serwisowe poruszały się i toczyły pod innym statkiem. Wszędzie porozrzucane były przewody paliwowe i urządzenia naprawcze. Boba rozejrzał się za kimś, komu mógłby zapłacić. Stał prosto na tyle, na ile mógł, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

- Sir... - powitał go łagodny głos, którego właściciel prawdopodobnie rozpoznał statek - Jango Fett, prawda?

Lśniaca postać zbliżyła się do niego. Był to posrebrzany droid administracyjny, 3D-4X. Jego walcowata głowa obracała się od Boby do *Slave'a I*.

- Fett, to prawda. - powiedział Boba. Człł niewielką falę ulgi. Droida łatwiej oszukać niż człowieka lub obcego. - Muszę na jakiś czas zostawić tu mój statek.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze. - odpowiedział droid. - Zostaje.

Boba usłyszał jakieś zniekształcone sylaby dochodzące z komunikatora droida. Po chwili okazało się, że chodzi o niego.

- Mistrz Qinx pragnie panu przypomnieć, że nie zapłacił pan za pewną drobną sprawę.

Boba przełknął ślinę. Odnosił wrażenie, że jego ukryta pod hełmem twarz zaraz się roztopi. Wziął głębokiy oddech, wyprostował się i powiedział:

- Jestem tego świadom.

Boba wyciągnął czip kredytowy, na którym było wszystko, co pozostało z fortuny ojca. Droid przeskanował go, po czym odwrócił głowę.

- To nie wystarczy.

- Tego również jestem świadom - powiedział szybko Boba, ciesząc się, że droid nie mógł zobaczyć jego twarzy. - Proszę poinformować swojego pana, że mam u hutta Jabby prywatną audiencję, która dotyczy starych biznesowych spraw. Kiedy spotkanie się skończy, ureguluję wszystkie należności.

- Mistrz Qinx wyraźnie powiedział, że...

Boba pokręcił głową.

- Jestem pewny, że twój pan nie chciałby, żebym spóźnił się na spotkanie z Jabbą. - powiedział tonem, który tak często słyszał u ojca. - Oczywiście mogę poinformować Jabbę, że się spóźnię... - Odwrócił się i zrobił krok do tyłu w stronę swojego statku. Jego oddech nagle przyspieszył. Co zrobi, jeśli droid wie, że blefuje?

Za sobą usłyszał sygnał komunikatora 3D4X.

- Bardzo dobrze. - powiedział droid. W jego głosie pojawił się delikatny niepokój. - Oczywiście nie chcemy, aby spotkanie z Jabbą się opóźniło. Czy będzie coś potrzebne po pana powrocie?

Boba uśmiechnął się, bezpieczny pod hełmem. Dlaczego nie?

- Tak - powiedział - Proszę dokonać wszystkich niezbędnych napraw i zatankować statek.

- Bardzo dobrze, sir. - Droid ruszył w kierunku droidów serwisowych. - Ty, tam! Zostaw to i chodź tu natychmiast!

Boba patrzył, jak droidy, piszcząc i szumiąc, zaczęły okrążyć *Slave'a I*. Potem odwrócił się i ruszył w stronę rampy prowadzącej w dół, na ulicę.

Być może będzie to łatwiejsze, niż myślał. Wyglądził przód tuniki i wyszedł na zewnątrz z wysoko uniesioną głową.

- Jabbo, nadchodzę!

W mniej niż minutę był beznadziejnie zagubiony.

Rozdział 3

Z powietrza Mos Espa wyglądała skomplikowanie, jednak nie chaotycznie. Boba rozpoznawał uliczki i alejki, a nawet główne drogi prowadzące w głąb pustyni. To wszystko było skomplikowane, ale uznał to za wzór. A skoro był to jakiś wzór, to chciał wiedzieć, jak z niego korzystać.

Kiedy jednak znalazł się poza hangarem, zdał sobie sprawę, że w tym miejscu żaden wzór nie istnieje. Nie było tu żadnej logiki, oczywiście poza logiką kupna, sprzedaży i kradzieży.

Na chwilę Boba zapomniał, że mógł być obserwowany i kontrolowany.

- Wow - wyszeptał zaskoczony.

Z powietrza Mos Espa - i zresztą cała Tatooine - wydawała się być w jednym kolorze. W kolorze piasku, kurzu i surowych skał.

Teraz jednak, gdy stał pośrodku tego wszystkiego, Boba wiedział, że nie było to prawdą. Jego ojciec mówił mu kiedyś o widzeniu świata w ziarnku piasku. Teraz, patrząc na to wszystko, Boba to czuł.

Dookoła niego wirowały głęboko złote kolory, przechodzące w blade, niemal białe. Starożytne budowle wykonane z popękanych skał i cegieł; drogi z porozbijanych kamieni i alejki pokryte brudem. Były tam zbieracze wody, zardzewiałe zbiorniki i skraplacze wilgoci.

I wszędzie były jakieś formy życia. Przebiegały obok niego, zmagając się z bezlitosnym wiatrem i kurzem.

Widział grupy małych zakapturzonych jawań w poplamionych brudnych szatach. Kiedy szli, ich żółte oczy błyszczały złowrogo. Kilku z nich jechało na wysokich, łagodnych ronto, które odwracały rogate głowy, by spokojnie gapić się na Bobę.

Byli też rozgadani handlarze, sprzedający wodę i przemycane towary. Byli feeroińscy piraci z twarzami pokrytymi mackami i pięknie ubrane kobiety, ozdobione ciężkimi klejnotami i zamaskowane, kiedy szły do kasyn hutta.

- Magraviańskiej przyprawy, panie? - Zasycał jakiś głos w hełmie Boby - Ona sprawi, że twój refleks będzie ostry jak szpony chrystalida.

Boba potrząsnął głową, kiedy rodianin wyciągnął w jego stronę brudną rękę.

- Nie, dziękuję - powiedział i zrobił kilka kroków na ulicę.

- GEGGAOURRAAY! - krzyknął głos.

Boba spojrział w górę i zobaczył ogromną postać zbliżającą się do niego. To była bantha. Jej ogromne, pochylone ciało, kołysało się tam i z powrotem. Na jej grzbiecie stał uzbrojony tuskeński jeździec. Boba patrzył na nią z podziwem. Wiedział, że bardzo rzadko zdarza się zobaczyć jednego z nich będącego daleko od pustyni.

Jeździec krzyknął groźnie na Bobę. Boba nie mógł zrozumieć jego słów, ale wiedział, co znaczył ten krzyk.

Rusz się!

Boba usunął się z drogi. Prawie czuł sztywne futro odchodzącego zwierzęcia, ocierające się o niego. Tuż nad sobą usłyszał świst przecinającej powietrze broni tuskena.

"Było blisko... Zdecydowanie za blisko" - pomyślał.

Pobiegł dalej. Przed sobą zobaczył tętniący życiem, zaniedbany budynek: kantinę. Droidy i obcy, nowi imigranci i mieszkańcy Tatooine, wszyscy albo kręcili się przed wejściem, albo wchodzili i wychodzili. Podejrzanie wyglądający mężczyzna w zakurzonych szatach, sprzedawał zamknięte w klatce roślinożerne neeki z Ambrii, i podobne do krabów suuri, fosforyzujące skorupiaki w szklanych kulach.

- Młody wojowniku - odezwał się cicho przemytnik, kiedy Boba przechodził obok - Mam miotacze... Najlepsze, najtańsze i najskuteczniejsze.

Boba go zignorował. Zwolnił dopiero, kiedy zbliżył się do drzwi kantyny.

Ze środka dochodziły śpiewy pijanych klientów i stłumione okrzyki. I co najważniejsze, zapach jedzenia.

Boba zatrzymał się, przetykając ślinę. Wiedział, że nie ma już kredytów, ale może mógłby skorzystać z niedokończonego posiłku.

Dorośli notorycznie nie kończyli swoich posiłków. Rozejrzał się i upewnił się, że nadal jest bezpieczny w hełmie, i pchnął drzwi.

Hałas w środku był ogłuszający. prawie od razu ochroniarz noghri spojrział na Bobę.

- Pokaż całą broń! - krzyknął - Tu nie jest jak w kantynie Mos Eisley. Nie chcemy tu strzelaniny.

Boba uniósł puste ręce. Noghri z grubsza poklepał go. Boba wstrzymał oddech. Bał się, że strażnik może podnieść jego hełm i odkryć, że nie był niskim wojownikiem, lecz dzieckiem.

Na szczęście noghri nie miał na to czasu. Za Bobą pojawiła się grupa hałaśliwych wookieech.

- No, włącz! - Krzyknął strażnik, wykonując zapraszający gest - Następny!

Boba pokonał przejście i znalazł się w głównym pomieszczeniu. Długi, oświetlony na fioletowo bar, zajmował centrum. Stoły rozstawione były w różnych miejscach. Do ogólnego hałasu dołączyła także muzyka. Wszędzie byli obcy i ludzie. Pochylali głowy, rozmawiając, może planując. Czasem po prostu jedli i pili. Droidy-kelnerzy kręcili się tam i z powrotem, zbierając naczynia i uzupełniając napoje.

Boba rozejrzał się.

- Tam... - mruknął.

Blisko tyłu sali ujrzał opuszczony stół... Stół, na którym stały talerze. Jeszcze raz się rozejrzał, upewniając się, że nikt go nie obserwuje. W końcu niedbałym krokiem podszedł do stołu.

- Tak! - szepnął do siebie. - Idealnie!

Ktoś zostawił cały talerz nietkniętej roby. Obok niej leżała góra parujących roślin strączkowych yan. Boba wyciągnął rękę, chwycił robę i zbliżył do ust.

Jeszcze ciepłe! Ugryzł, przeżuł i połknął, by następnie sięgnąć po yan.

- Hej!

Boba przełknął ślinę. Odwrócił się i zobaczył wysoką kobietę w mundurze pilota z Myrkr. Wykrzywiła się do niego. Jej dłoń spoczywała na blasterze na jej biodrze.

- Uh, przepraszam - wyjąkał Boba - Myślałem, że to mój stół.

Za pierwszym pilotem pojawił się kolejny. Boba zaczął się wycofywać, ale czyjaś ogromna ręka spoczęła na jego ramieniu.

- Mandaloriańska szumowino! - odezwał się głęboki głos - Jak śmiesz oddychać tym samym powietrzem co ja?

Boba odwrócił się. Spojrzał w górę i zobaczył potężną postać, mogącą spokojnie mierzyć jakieś trzy metry. Od głowy zakrytej hełmem do obutych stóp, ubrany był w lśniący pancerz. Nosił blaster tak długi jak jego ramię, a przy jego pasie wisiało jeszcze więcej noży i miotaczy.

Najgorsze jednak było to, co nosił na piersi - bładz wizerunek mandaloriańskiej czaszki.

- Jakiś problem, Durge? - spytała pierwsza pilotka.

Durge...

Boba wpatrywał się w niego, a po jego rękach i szyi spłynął zimny pot. Stała przed nim imponująca postać. Oczy wewnątrz hełmu świeciły złowrogą czerwienią.

- Kiedy widzę mandalorianina - odpowiedział Durge, unosząc rękę - zawsze jest problem. Zwłaszcza, jeśli chodzi o jednego, którego kazał mi dopaść hrabia Dooku.

Rozdział 4

Serce Boby zaczęło bić szybciej. Stał jednak i wpatrywał się w stojącą przed nim postać.

Durge! Ojciec ostrzegał go przed nim. Łowca nagród, mający dwa tysiące lat, nienawidził Mandalorian bardziej niż cegokolwiek w galaktyce. Sto lat przed tym, jak Boba przyszedł na świat, Durge usiłował schwytać Mandaloriańskiego przywódcę. Okazało się jednak, że to on sam został schwytyany i torturowany.

Udało mu się uciec. wprowadził się w stan hibernacji, by wyleczyć wszystkie rany. Gdy już został wyleczony, poprzysiął zemstę na wszystkich Mandalorianach.

Było już jednak za późno na zemstę. Do tego czasu w galaktyce pozostało niewiele Mandalorian. Zostali zgładzeni podczas niezliczonych bitew, także tych z Jedi.

Mimo to, część Jango Fetta pozostała przy życiu w armii klonów stworzonej z jego DNA. Durge obiecał wyeliminować wszystkie klony Jango Fetta... I wykonać rozkaz hrabiego Dooku.

Co zrobiłby, gdyby wiedział, że stał przed nim prawdziwy syn Jango?

"Nie będę czekać, by się tego dowiedzieć". - pomyślał ponuro Boba.

Wziął głęboki oddech. Zanim pięść mężczyzny w niego uderzyła, zanurkował między nogami łowcy nagród.

Dobrze, że był tak wysoki! Boba zaczął biec.

- Brać go!

Boba pobiegł do drzwi. Droidy serwisowe zapiszczały i pozwoliły mu uciekać. W pobliżu drzwi trójka wookiee opierała się o ścianę, warcząc z podekscytowania.

BLAAAAAMM!

Nad głowami rozpoczął się ostrzał z blasterów. Boba słyszał krzyki i czuł podmuch odpowiadającego ognia.

- Hej, ty! - krzyknął ochroniarz noghri, kiedy młody łowca nagród śmignął obok. Ochroniarz rzucił się w jego stronę, ale Boba był za szybki. W ciągu kilku sekund był znów na zewnątrz.

- Jak dobrze, że mi się udało! - wysapał.

Biegł, aż kantyna pozostała daleko za nim. Pozostawały jeszcze tłumy ludzi, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Pomyślał, że prawdopodobnie traktowano go jak jednego ze ściganych. Odwrócił się i wbiegł w boczną uliczkę.

Zaczynał odczuwać zmęczenie. Wkrótce będzie musiał odpocząć.

Nagle potknął się na stosie gruzu. Krzyżąc, upadł na popękany chodnik. Odruchowo wyciągnął ręce, by złagodzić upadek.

To jednak nie wystarczyło, by ochronić go przed upadkiem na brudną, zakurzoną ziemię.

Ufff...

Upadek odebrał mu oddech. Za późno przypomniał sobie o hełmie.

- Nie!

Boba poczuł, jak hełm zsuwa się z jego głowy. Zdołał go chwycić tylko na chwilę... Tylko przez chwilę czuł gładką powierzchnię metalu. Potem hełm wysunął się z jego palców.

Hełm zniknął.

Wokół niego poruszało się morze nóg i stóp - kopyt, szponiastych stóp...

Gdzie był jego hełm?

Gorączkowo poruszał się do przodu na rękach i kolanach. Ignorował przekleństwa i szyderstwa tych, którzy znaleźli się obok niego. Ktoś kopnął go... Ktoś się zaśmiał... Boba zacisnął zęby i szedł dalej.

- Tam!

Widział go... Był na wyciągnięcie ręki... Znajoma, gładka czerń, która zakrywała jego twarz, kiedy hełm był tam, gdzie być powinien.

Boba wstał i wyciągnął rękę, by chwycić hełm.

I kiedy to zrobił, ktoś chwycił hełm przed nim.

- Szukasz czegoś?

Boba wyprostował się, wyraźnie wściekły.

- To moje! Oddaj mi to!

- Twoje? - prychnął z niedowierzaniem głos. - Nie sądzę.

Boba uniósł wzrok. Przed nim stała dziewczyna, może rok młodsza od niego. Była od niego mniejsza i znacznie brudniejsza. Jej twarz pokrywały smugi kurzu i sadzy. A jej włosy... Teraz wyglądały na brązowe, ale Boba podejrzewał, że pod warstwą brudu krył się ciemny blond. Była chuda, niemal zagłodzona. Na sobie miała poszarpane ubranie, należące zapewne do jednego z mechaników - może Ugnaughtów - zdecydowanie za duże i przewiązane w pasie kawałkiem brudnego sznura. Jej oczy były przesywająco niebieskie.

Mogła być od niego młodsza, ale wyglądała na tak samo zdeterminowaną.

- Skąd masz Mandaloriański hełm bojowy? - spytała.

Trzymała go i patrzyła na niego z namysłem.

- Jest wiele wart. - ciągnęła, rzucając Bobie spojrzenie zarówno podejrzliwe, jak i pełne podziwu. - Gdzie go ukradłeś?

- Ja nie... - rzucił się, chwytając hełm, ale ona była szybsza. Zanim mógł cokolwiek powiedzieć, była już po drugiej stronie drogi, z hełmem pod pachą.

Patrzył za nią, oszołomiony.

- Nikt nie odbierze mi tego co moje! - krzyknął i pobiegł za nią.

Rozdział 5

Zakręcająca droga była jeszcze bardziej zatłoczona od tej, którą opuścił. Tym razem wzrost Boby mu pomógł. Mógł wydostać się z tłumu tak szybko jak ryby z Ralltiir. Był w stanie śledzić dziewczynę, ponieważ nie była większa od niego. Zdał sobie sprawę, że ten cały pościg go cieszył.

Biegł za nią, dysząc. Mijał przejścia, w których czaili się przemytnicy... Mijał wąskie alejki pełne zwierząt pociagowych, takich jak włochate tybi i ogromne banthy. Biegł przez otwarty targ, zajęty przez ogromny gwiazdny statek, wokół którego krążyli podekscytowani jawowie. Byli już bliscy sprzedania go na czarnym rynku. Dziewczyna biegła dalej...

- Stój! - wrzasnął Boba.

Kiedy zobaczył przyglądających się mu jawów, uświadomił sobie, że wrzeszcząc, popełnił błąd. Dalej biegł w ciszy, oszczędzając energię na pościg.

Biegli dalej i dalej. Boba musiał nachylać się pod niskimi zasłonami, przeskoczył nad stertą śmieci i dogasającą pozostałością po maleńkim ognisku jakiegoś żebraka. Po kilku minutach zaczął ją doganiać. Złodziejka była mała i szybka, w dodatku znała teren wokół Mos Espy.

Boba jednak był silniejszy.

A Mandaloriański hełm był ciężki i trudny dla niej do niesienia. Przez drogę Boba mógł stwierdzić, że niosła hełm z pewnym wysiłkiem. Raz omal go nie wypuściła i Boba pomyślał, że w końcu go odzyska. Jego wyciągnięta ręka poczuła szorstki materiał jej brudnego ubrania i gładką krzywiznę hełmu.

Z okrzykiem przyciągnęła hełm bliżej, przyciskając go do swojej chudej piersi. Ostro skręciła i pobiegła do budynku, z Bobą depczącym jej po piętach.

Boba nie zatrzymał się, by spojrzeć w górę i zobaczyć, dokąd właściwie biegnie. Gdyby to zrobił, mógłby się zawahać. Budynek był jedynie skorupą. Wrzecionowate kawałki drewna podpierały się wzajemnie, tworząc wejście. Przed nim, niczym całun, powiewał poszarpany kawałek materiału.

Boba jednak nie zamierzał się zatrzymywać. Pobiegł za nią. Chwilę później pogrążył się w ciemności.

Zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech. Przekrzywił głowę, nasłuchując. Słyszał sapanie innej osoby.

Dziewczyny...

- Wiem, że tam jesteś - odezwał się.

Był tak zły, że nie potrafił przestać myśleć o tym, co zrobiłby jego ojciec, będąc w miejscu takim jak to... A nie była to rzecz, którą zrobił Boba.

Nie rozglądając się dookoła, wyciągnął przed siebie rękę, a następnie zrobił krok w przód.

Coś miękkiego otarło się o jego nogę. Odsunął się, myśląc, że to kawałek brudnego materiału w przejściu.

Jednak nie był to materiał. Zanim zdążył mrugnąć, czyjeś ręce zasłoniły mu oczy. Inne ręce złapały go za kostki, ciągnąc w dół.

- Hej!

- Ani słowa, obcy.

Napiął się i podniósł rękę, by zadać cios. Jednak wtedy poczuł na gardle coś zimnego.

Nóż...

- Jeśli się ruszysz, zginiesz. - powiedział ktoś niskim głosem.

Boba wziął głęboki oddech, zmuszając się do pozostania w bezruchu. Czyjeś ręce poklepały go, wsunęły się do jego kieszeni i zacisnęły się na książce.

- Tu coś jest!

Niewiele myśląc, Boba znów zaczął się szarpać. Lodowate ostrze mocniej przycisnęło się do jego gardła. Boba próbował skupić całą swoją siłę woli do pozostania w bezruchu.

- Co to jest? - Usłyszał czyjś szept.

- Książka.

Pierwsza osoba wydała pogardliwy dźwięk.

- Książka? Kto potrzebowałby książki? Pozbądźcie się tego!

- Daj mi to! - Boba rozpoznał głos złodziejki. - Gdybyś kiedykolwiek czytał książki, Murzz, miałbyś mózg między uszami.

Usłyszał szuranie, stłumiony krzyk i znów głos dziewczyny.

- Wow! Spójrz na to! - tym razem w jej głosie nie słyszał podejrzliwości, lecz podziw. - Zobaczmy, co jeszcze ma.

Więcej małych dłoni sprawdziło jego kieszenie, rękawy, nawet buty, jednak niczego więcej nie znaleźli.

"Mógłbym zaoszczędzić wam wielu kłopotów" - pomyślał Boba ze złością - "gdybyście tylko puścili mnie wolno"!

Wpatrywał się w otaczający go mrok. Zamrugał. Jego oczy powoli zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. dostrzegł ciemną postać klęczącą przy nim - osobę, która trzymała ostrze na jego gardle. Wokół niego poruszały się dwie, nie, trzy mniejsze postaci.

Żadna z nich nie wydawała się być dziewczyną. Zmrużył oczy, jednak wciąż nie mógł jej zobaczyć.

Ale mógł ją usłyszeć.

- Nie przestawajcie szukać - odezwała się z cienia. - Kimkolwiek ten chłopak jest, ma ciekawy towar... Bardzo ciekawy.

Małe palce zatańczyły po całej twarzy Boby, dotykając jego uszu i ust.

"Szukają klejnotów" - pomyślał Boba - "I złotych zębów"...

Leżał nieruchomo, czekając, aż jeden z palców wsunie się w jego usta. W końcu ugryzł... Mocno...

- Auuu!

Postaci odskoczyły od niego. Boba chwycił rękę na gardle. Wykręcał ją, dopóki nie usłyszał jęku i miękkiego stukotu metalu uderzającego o ziemię. Uderzył na ślepo. Jego ręka natrafiła na małą postać, która upadła. Boba zerwał się, chwytając osobę, która upadła obok niego.

- Ygabba, Pomóż!

- Bądź cicho! - powiedział Boba.

Znów szarpnął postać. W ciemności ujrzał drobną, szczupłą twarz, ramiona cienkie niczym zapalki i dziko elektryzujące się, czarne jak dym włosy.

To tylko dziecko. Było o wiele mniejsze i młodsze od Boby.

Boba poczuł ukłucie żalu. Potem jednak przypomniał sobie zimny dotyk noża na gardle. Spojrzał w dół i zobaczył błysk srebra w pobliżu swoich stóp. Utrzymując kontrolę nad chłopcem, Boba pochylił się i podniósł ostrze... I spojrział w cień.

- Oddaj mi hełm! - krzyknął - Inaczej...

- Inaczej co?

To była dziewczyna. Widział wystarczająco dobrze, by ją rozpoznać, kiedy do niego podeszła. Podniosła małą, plastalową pochodnię i zapaliła ją. Jasne, białe światło zaalało pomieszczenie. Boba zasłonił twarz. Obok niego mały chłopiec wił się, próbując się uwolnić.

- Nie skrzywdzisz go - mówiła dalej dziewczyna, wpatrując się w Bobę błyszczącymi i przenikliwymi niczym światło pochodni oczami. - Nie jesteś taki jak my.

Nie jesteś taki jak my... To zabrzmiało jak wyzwanie. Boba spojrział na nią i odpowiedział:

- Nie, nie jestem. Na pewno nie jestem złodziejem.

- Nie? - Dziewczyna uśmiechnęła się chłodno i podniosła Mandaloriański hełm i książkę. Jego książkę. - A skąd masz to? I to?

Boba rzucił jej lodowate spojrzenie.

- To moje.

Chłopiec u jego boku zaczął płakać. Boba spojrział na niego.

- Bądź cicho. - wyszeptał.

Przeniósł spojrzenie na ostrze, a potem na dziewczynę. Dostrzegł błysk niepokoju przebiegający po jej szczupłej twarzy.

Był to niepokój? A może strach?

"*Strach to przyjaciel. Jeśli to strach twój wroga*". - Mawiał jego ojciec.

Ale dziewczyna nie wydawała się bać Boby. nadal patrzyła na niego wyzywająco. Widział jej spojrzenie, przenoszące się na uwięzionego chłopca.

"Ona nie boi się mnie" - pomyślał Boba. - "Boi się o niego".

- Oddaj mi moje rzeczy, a ja go wypuszczę - powiedział. - Patrz... - Wyciągnął nóż, po czym wsunął go za pas. - Chcę tylko z powrotem moje rzeczy.

Do jego głosu wkradł się cień rozpacz. Nie dlatego, że się bał, choć oczywiście, tylko głupiec się nie boi.

Nie mógł stracić tych rzeczy. Poczul narastający chłód... To wszystko, co zostało mu po ojcu.

- Twoje? - Dziewczyna zaśmiała się gorzko. - Nie wierzę w to, ale...

Podeszła do niego. Za nią Boba mógł dostrzec inne czujne dzieci.

- Musisz być bardzo mądry albo miałeś dużo szczęścia, bo udało ci się zdobyć Mandaloriański hełm bojowy. - ciągnęła - Zawsze szukamy mądrych rekrutów... Albo szczęściarzy.

Boba pokręcił głową.

- Nie jestem zainteresowany. Pracuję sam.

Na szczupłej twarzy dziewczyny powoli pojawił się srogi uśmiech.

- W takim razie nie przetrwasz długo na Tatooine - stwierdziła - I będziesz potrzebował dużo szczęścia.

Powoli podniosła rękę. Jej dłoń zwinięta była w pięść. Pozostałe dzieci zrobiły to samo. Boba patrzył na nich. Niczym kwitnące trujące kwiaty, pięści dzieci zaczęły się otwierać. Trzymały je w górze, więc Boba dobrze je widział.

Pośrodku każdej dłoni tkwiło oko... Każde zwrócone było na Bobę Fetta.

Rozdział 6

- Co... Co to jest? - wyjąkał Boba.

- Oczy mistrza. - odpowiedziała spokojnie dziewczyna nazwana Ygabba.

- Mistrza?

Dziewczyna odwróciła się bez słowa i weszła w ciemność. Boba patrzył za nią zdezorientowany i zdenerwowany. Chłopiec u jego boku zaczął żałośnie zawodzić. Boba spojrział w dół, zawstydzony, że prawie o nim zapomniał.

- Ygabba! - płakał chłopiec.

Dziewczyna szła dalej, nie patrząc za siebie.

- Ygabba! Proszę, zaczekaj!

Boba poczuł się winny! Oswajał się z myślą o pozbawionych powiek oczach. Jego uchwyt na nadgarstku chłopca poluzował się zaledwie na chwilę.

Ale to wystarczyło. Z przenikliwym śmiechem chłopiec uwolnił rękę i z radością pobiegł za resztą. Boba jęknął i także ruszył.

Od jego schwytania minęło zaledwie kilka minut. Pomieszczenie zwężało się w tunel. Jego ściany wykonane były z jakiegoś cienkiego, przezroczystego materiału. Przez szczeliny po bokach przesączał się piasek. Boba widział innych niedaleko przed sobą. Szli bez większego pośpiechu. Słyszał ich śmiech i strzępy rozmowy.

- Czy teraz mistrz będzie szczęśliwy?

- Nie dbam o to, dopóki nas karmi.

- Ciii...

Boba zobaczył, że tunel przed nim zmienia się w okrągły otwór. Oświetlało go matowe, pomarańczowe światło. Kiedy inni przez niego przebiegali, wyglądali jak kukielki wchodzące w ogień. Ostatni przyszedł Boba. Rozejrzył się w poszukiwaniu złodziejki.

- Witaj, obcy. - przywitał go jej głos.

Spojrzał w górę. Była tam... Siedziała na wysokiej metalowej półce. Kiedy uniosła rękę, mógł zobaczyć kolejne oko obserwujące go. Jej bosa stopy kiwały się tam i z powrotem. Hełm trzymała na kolanach.

- Nie martw się. - powiedziała. - One nie mogą cię zranić. Oczy, ma się rozumieć.

Boba odwrócił się, rozglądając się w zdumieniu.

Był wewnątrz kabiny gwiazdowego statku. Nie było jakiego statku - krążownika z Theed. Rozpoznał go, ponieważ podczas pobytu na Kamino, ojciec pokazywał mu go na planach.

- Skąd... Skąd to się tu wzięło? - zapytał.

- Ktoś to ukradł. - odpowiedziała ze śmiechem dziewczyna. - Tak samo jak to było z Mandaloriańskim hełmem.

Podniosła hełm. Przez dłuższą chwilę mu się przyglądała. W końcu jednak odwróciła się i ukryła go w jakimś schowku. Wstukała kod zabezpieczający i schowek został zamknięty. Wstała, patrząc na udręczoną twarz Boby.

- Nie martw się. - powiedziała. Podeszła do krawędzi półki, zeskoczyła z niej i zbliżyła się do Boby. - Tam jest bezpieczny. - dodała cicho - Zaufaj mi.

- Zaufać?! - Boba zaczął krzyczeć - Tobie?!

Dziewczyna skinęła na niego, by się uspokoił. W jej dłoni dostrzegł oko, którego źrenica była tak czarna jak najciemniejsza farba. Uniosła brwi, w ciszy wskazując na ogromne pomieszczenie dookoła nich.

Boba zacisnął usta. Odwrócił się i rozejrzył się wokół.

Teraz widział, że nie był to cały krążownik, a jedynie kabina. Ogromne poszarpane nacięcia wskazywały na miejsca, w których znajdowały się skrzydła. To, co pozostało, było długą, wysoką komorą. Z sufitu zwisały gołe przewody i wypalone zwoje metalu. W podłodze ziały otwory. Matowe pomarańczowe światło pochodziło od świetlnych kul, wiszących w górze, niczym jaja owadów. Wszędzie walały się kawałki obwodów, połamane płytki i resztki, które wyglądały na pozostałości broni i osłon torped protonowych.

I wszędzie były dzieci. I było ich mnóstwo... Siedziały na metalowych półkach krążących po komnacie... Patrzyły na niego wygłodniałymi, dzikimi oczami. Nigdy nie widział ludzi ani obcych, nawet kaminoan, którzy byliby tak szczupli. Było tam tak wiele różnych ras i kolorów... Były dzieci z Alderaana, Kalarby, Tatooine; zielonoocy przedstawiciele kuat, Selonii, młode wiedźmy z Dathomiry...

Jedynie, co według Boby ich łączyło, to fakt, że wyglądali na głodnych. Wszyscy wyglądali na przestraszonych. i każdy z nich miał dodatkowe oko.

Rozdział 7

- Kim... Kim jesteś? - Boba spojrzął na złodziejkę. - Co to za miejsce?

- Nazywam się Ygabba. - Dziewczyna wygładziła przód brudnej tuniki. Zerknęła niepewnie. - A to jest twierdza armii mistrza.

- Armii? - Boba przyjrzał się wpatrzonym w niego wychudzonym postaciom. - Mój ojciec zawsze mówił, że armia porusza się na brzuchach. To nie wygląda, jakby miało pójść gdziekolwiek.

Przepełniony szokiem pomruk przetoczył się po patrzących na niego postaciach. Ygabba pokręciła głową.

- Nie mówiłabym tak, gdybym była tobą. - powiedziała cicho. - Mistrz nie byłby zbyt szczęśliwy.

- Mistrz? Jaki mistrz? - Boba patrzył na nią - Nie widzę tu nikogo oprócz was.

Dzieci szeptały. Ygabba niespokojnie zerknęła przez ramię.

- Mam na myśli... - odpowiedziała - Lepiej nie...

Jej oczy nagle się rozszerzyły.

- Mistrzu! - jęknęła. Uniosła ręce przed twarz, po czym upadła na ziemię. - Mistrzu Libkath...

Boba odwrócił się, by zobaczyć, na co patrzyła. Powietrze zamigotało i rozjaśniło się, jakby świecący piasek został wsypany do niewidzialnej butelki. Powoli, bardzo powoli, obcy pojawił się pośrodku komnaty. Był wysoki i szczupły, ubrany w niebieskie, głęboko połyskujące szaty. Ze względu na kapelusz, który nosił jak koronę, wyglądał na jeszcze wyższego, niż był w rzeczywistości. Jego ręce były kościste i chorobliwie białe, jak jego twarz. Oczy miał duże i okrągłe. Świeciły takim samym matowym pomarańczem jak świetlne kule w pomieszczeniu. Niepokojąco powoli uniosł głowę i rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu. Kiedy się odezwał, jego głos był niepokojąco delikatny i cichy.

- Kim jestem? - zapytał.

Brzmiało to jak ciche westchnienie. Dzieci podniosły ręce, w których błyszczały zimne oczy.

- Jesteś naszym mistrzem, Libkath. - odpowiedziały jednym głosem.

Wysoka postać skinęła głową.

- Oczywiście. Kto troszczy się o was, dzieci?

- Ty, mistrzu.

- Kto daje wam schronienie? - zapytał.

- Ty, mistrzu. - odpowiedziały znów dzieci.

Oczy na chwilę spojrzały na postać, która znów skinęła głową.

- Oczywiście. - Na jego gadziej twarzy zaczął pojawiać się uśmiech. - A czego oczekuję w zamian?

- Posłuszeństwa, mistrzu.

- Bardzo dobrze.

Postać uniosła ręce i odwróciła je. Boba poczuł ucisk w żołądku, kiedy te okrągłe, świecące oczy wpatrzyły się w niego.

- Na wyścigu ścigaczy będzie wielu ludzi - powiedziała postać. - i wiele statków będzie poza areną. Wielu strażników, ale także wielu nieostrożnych żołnierzy, którzy będą dużo pić. Transport przemycanej broni będzie przy północno-zachodniej bramie. Dostarczycie ją tu.

- Tak jest, mistrzu. - wyszeptały dzieci.

Postać spojrzała prosto na Bobę.

- Co oznacza niepowodzenie? - zasyczał.

Boba otworzył usta, jednak nic nie powiedział.

- Niepowodzenie oznacza zagładę. - oznajmił mistrz Libkath. - Nie popełnijcie błędu.
Po tych słowach postać zniknęła z oślepiającym błyskiem.

Rozdział 8

Boba zamrugał. Chwilę zajęło mu zarejestrowanie tego, co zobaczył.

To nie była realna osoba, ale holo. Holograficzna transmisja.

Tak naprawdę, nie groziło mu żadne realne niebezpieczeństwo. Mistrza Libkatha, kimkolwiek by nie był, tak naprawdę nigdy tu nie było. Nie widział Boby. Boba jednak rozpoznał go jako neimoidianina. Widział neimoidian wcześniej, na Geonosis.

Mimo to, Libkath był przerażający, przynajmniej dla innych. Nawet Boba nie był w stanie patrzeć na te dziwne oczy bez uczucia mdłości. Przez chwilę nie był w stanie mówić. Pomieszczenie wokół niego też było ciche. W końcu dzieci, wszystkie na raz, zaczęły rozmawiać i dyskutować.

- Nie mamy czasu! - krzyknęła Ygabba, odwróciła się na pięcie i ruszyła w poszarpany otwór, w którym kiedyś musiał mieścić się generator mocy. - Słyszeliście mistrza. Mamy robotę.

- Ale ja jestem głodny. - jęknął ktoś.

- Ja też! - krzyknął ktoś inny.

- I ja... - zapiszczał kolejny głos.

Ygabba stanęła. Jej twarz wyglądała na zmęczoną, wyczerpaną i znacznie starszą.

- Wiem - powiedziała - Ja też jestem głodna. Poza areną nie ma producentów żywności.

- Ale nie mamy nic, czym moglibyśmy handlować - odezwał się mały chłopiec z Tatooine.

Twarcz Ygabby rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Jakoś nigdy wcześniej nas to nie powstrzymało. - stwierdziła.

Pozostali roześmiali się. Boba zbliżył się do niej.

- Więc wszyscy jesteście złodziejami. - powiedział z wyrzutem i złapał ją za rękę. - Cóż, ja nim nie jestem. Oddajcie mi moje rzeczy i sobie pójdę.

Ygabba zmierzyła go wzrokiem.

- Co ty możesz o nas wiedzieć? - spytała w końcu - Ty też zacząłbyś kraść, gdybyś był głodny. Wielu z nas zostało oddzielonych od naszych rodzin. Inni patrzyli, jak ich rodzice byli zabijani przez bandytów.

Patrzyła na niego błyszczącymi, niebieskimi oczami. Boba odwzajemnił spojrzenie.

- Ja też widziałem, jak zabijano mojego ojca. - powiedział cicho. - Wiem, jak to jest być samotnym. Wiem, jak to jest nikomu nie ufać. - Potrząsnął głową - Ale ja nigdy w życiu niczego nie ukradłem. I nie chcę zaczynać.

Dziewczyna spojrzała na niego, a jej twarz złagodniała.

- Ojciec... - odezwała się - Ten hełm należał do niego?

Boba skinął głową.

- A książka?

- Też - odpowiedział Boba.

Ygabba stała, zastanawiając się nad czymś. W końcu sięgnęła do kieszeni.

- Proszę. - powiedziała, podając mu jego książkę. - Przepraszam, że ją wzięłam.

Boba wsunął ją do kieszeni.

- A co z moim hełmem?

- Nie - spojrzała za siebie, na pozostałe dzieci, które czekały, aż je wyprowadzi. - To, co ci powiedziałam, było prawdą. Tu jest najbezpieczniej. W Mos Espie istnieje wielu, naprawdę wielu złodziei. Większych od nas... I straszniejszych. Później oddam ci hełm.

- To nie jest dobry pomysł. Potrzebuję go. - powiedział Boba. I to nie była prośba... To był rozkaz. - Teraz.

Dziewczyna patrzyła na niego dłuższą chwilę. W końcu skinęła głową.

- W porządku. - powiedziała. Odwróciła się, wspięła się z powrotem na półkę i otworzyła schowek. Po chwili wróciła z hełmem. - Proszę.

Wyciągnęła go w stronę Boby. Chwycił go, ale jej ręce nie chciały puścić.

- Jesteś mi coś winien. - powiedziała w końcu i zabrała rękę.

- Winien? - odezwał się Boba, przyciskając hełm do piersi. - Za kradzież mojego hełmu?

- Nie, za lekcję ostrożności.

Dziewczyna odeszła, gestem nakazując innym dzieciom iść z sobą, by poszukać jedzenia. Boba obserwował ją i w końcu poszedł za nią, nadal trzymając hełm.

- Może masz rację - powiedział niechętnie - Jednak nadal nie zamierzam zostać złodziejem.

Ygabba wzruszyła ramionami.

- Jak sobie chcesz.

Odsunęła kawałek złomu służący jako drzwi i wyszła na drogę pełną odpadków.

- Prędzej czy później, ludzie tacy jak my kończą tu, z Libkathem. Nie ma innego miejsca.

Boba wyszedł za nią na zewnątrz.

- Kim jest Libkath? - spytał.

- Wygnanym neimoidianinem - odpowiedziała. - Przynajmniej wydaje mi się, że jest wygnanym. Ale nie jestem pewna. Inne dzieci nawet nie zastanawiają się nad tym, kim on tak naprawdę jest. Ale ja tak. Cały czas. Daje nam schronienie i jedzenie. Niewiele, ale lepsze to niż nic. Chroni nas przed gangsterami hutta. W zamian my robimy to, o co poprosi.

- Widziałas go kiedyś? - spytał Boba - To znaczy prawdziwego, a nie tylko hologram.

- Tak. - Ygabba zadrżała - Uwierz, hologram jest lepszy.

Boba pomyślał o tych złowrogich świecących oczach patrzących na niego.

- Wierzę ci na słowo. A to? - Wskazał na jej dłoń.

Ygabba podniosła rękę i otworzyła dłoń tak, by mógł zobaczyć oko na jej środku.

- To kula śledząca - wyjaśniła - zaawansowana nanotechnologia i organiczne implanty. Kiedy mistrz nas wybiera, jego medyczny droid wszczepia implant w nasze dłonie.

- Czy on widzi wszystko, co robicie?

- Nie, to monitory. To wszystko. Jeśli opuścimy planetę, wpuszczą toksyczne substancje do naszego krwiobiegu. Tak są zaprogramowane.

- To okropne!

- Wiem. Dlatego właśnie go słuchamy. Dlatego robimy to, co każe. Nie mamy wyboru.

Boba słuchał w zamyśleniu.

- Naprawdę go widziałas? - spytał - A może on tylko się z wami komunikuje, jak teraz?

- Och, naprawdę go widzieliśmy. Jego i jego droidy bojowe. - powiedziała ponuro Ygabba. - Kiedy wykonujemy misje. Jesteśmy od brudnej roboty - kradzieży broni albo paliwa, albo wody. Czasami ukrywamy dla niego te rzeczy. Przychodzi tu i wszystko zabiera. Potem odchodzi i wszystko sprzedaje.

Boba skinął głową.

- Rozumiem - powiedział - On przemycą broń!

Ygabba wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Wiem tylko, że zabiera to, co dla niego zdobędziemy. On zyskuje fortunę, a my prawie nic. I to jeśli mamy szczęście.

- Czy on pracuje sam?
- Nie. Ma żołnierzy, najemników... I droidy.
Zaczęła iść w dół alei. Obierała bezpieczną drogę między chwastami i stertami spalonych podzespołów. Boba stanął na jej drodze. Nie nakładał jeszcze hełmu. Odnosił wrażenie, że jeśli to zrobi, przyciągnie większą uwagę.
Mandaloriański wojownik podążający za bandą obdartych dzieciaków?
Ta myśl wywołała uśmiech na jego twarzy. Wywołała też smutek.
"Gdybym był prawdziwym wojownikiem..." - pomyślał - "Chciałbym ich uwolnić. Chciałbym oddać ich do ich rodzin i upewnić się, że mistrz za to zapłaci!"
Za nim wlokły się dzieci. Przepychały się, śmiejąc się i cicho rozmawiając.
W pewnej chwili jakiś chłopiec przystanął i zaczął grzebać w stercie śmieci. Wyciągnął z ziemi coś długiego i wijącego się i wsadził do ust.
Boba spuścił wzrok.
- Mogę spytać, co robisz na Tatooine? - odezwała się po chwili Ygabba.
Boba się zawahał.
- Jestem tu, żeby znaleźć hutta Jabbę - odpowiedział w końcu.
- Jabbę? - Niebieskie oczy Ygabby się rozszerzyły - Masz przed sobą długą drogę. Jego pałac jest na skraju zachodniego morza wydm. To setki klików stąd.
Boba ogarnął strach.
- W takim razie będę musiał znaleźć drogę przez morze wydm. - oznajmił.
- Czekaj. - Ygabba przystanęła i położyła dłoń na jego ramieniu. - Daj mi pomyśleć. Zmarszczyła brwi. W końcu pokiwała głową z ekscytacją.
- Tak! Założę się, że mam rację!
- Co? - spytał Boba - Powiedz mi!
Zaczęła chodzić szybciej.
- Dzisiaj wieczorem mają się odbyć nocne wyścigi ścigaczy, które są sponsorowane przez Jabbę. - powiedziała - I broń, którą mamy zdobyć, też prawdopodobnie jest dla Jabby. Założę się o twój obiad w kantynie Kilargo, że Jabba będzie w Arenie.
Pstryknęła palcami ze śmiechem. Boba spojrzał na nią z powątpiewaniem.
- Jesteś pewna? Skąd wiesz o tym wszystkim?
- Wiedza to moja praca. Mógłbyś być zaskoczony tym, co ludzie potrafią mówić przy kimś w naszym wieku.
Boba skinął głową. Pomyślał o tym, jacy dorośli są głupi. I jak bardzo są nieświadomi tego, co naprawdę wiedzą dzieci.
Aleja przed nimi rozgałęziała się w szeroką ulicę. Po jej drugiej stronie majaczyły ogromne budowle.
Arena. Boba pomyślał, że była na tyle duża, że mogłaby być górą, choć sam Boba nigdy wcześniej nie widział góry. Wszędzie widzieli tłumy istot, ich pojazdy, śmigacze, skutery, banthy i uzbrojonych strażników, którzy pilnowali porządku.
- Główna brama jest tu - powiedziała Ygabba. - A północno-zachodnia tam. - wskazała na drugi koniec Areny. - Ale jeśli chcesz znaleźć Jabbę, najlepiej jak pójdziesz z powrotem, do południowo-wschodniej bramy. To miejsce, w które udają się arystokraci.
Boba zmarszczył brwi.
- Arystokraci?
- Bogaci ludzie, wiesz? Huttowie mają swoje prywatne wejście. I swoją prywatną lożę. Oczywiście nie mam pojęcia, jak się tam dostaniesz. - dodała wyniośle.
Boba skrzywił się... I nagle, niespodziewanie zaczął się śmiać.
- Ja też.
Ygabba uśmiechnęła się. Inne dzieci stłoczone za ich plecami śmiały się z podnieceniem i uciszały się wzajemnie.

- Muszę cię teraz zostawić. - powiedziała dziewczyna.

Wskazała na dzieci, które pokiwały głowami. Zaczęły odłączać się od grupy i dwójkami lub trójkami wbiegać w zatłoczoną ulicę. W ciągu kilku sekund wszystkie zniknęły.

Zostali tylko Boba i Ygabba.

- Cóż... - zaczęła Ygabba, wyciągając brudną rękę w jego stronę.

Boba się zawahał. Zerknął, czy nie było oka w jej dłoni. Nie było. Uśmiechnął się i podał jej rękę.

- Powodzenia - mówiła dalej.

- Dzięki - odpowiedział Boba - Będzie mi potrzebne.

Ygabba odwróciła się z uśmiechem i zaczęła przebiegać przez drogę. W połowie jednak się zatrzymała.

- Hej! Ja nigdy nie spytałam! - zawołała do niego - Jak masz na imię?

- Boba... - odpowiedział - Boba Fett.

- Boba Fett. - powtórzyła, uśmiechając się szeroko. - Zapamiętam to imię!

- Mam nadzieję. - odpowiedział Boba.

Włożył hełm na głowę i patrzył, jak Ygabba została połknięta przez tłum.

Rozdział 9

Było już prawie ciemno, kiedy dotarł do południowo-wschodniej bramy. Arena była ogromna, niczym małe miasto. Wydawało się, że Boba znów był sam.

Minął obozowiska żebraków i jasne, kolorowe namioty, w których siedzieli hazardziści i przywoływali go do siebie. Zobaczył oddział żołnierzy i trzech gamorreńskich strażników, którzy okładali się nawzajem pałkami. Zdezorientowani poszukiwacze wody tłoczyli się na drodze do areny, chcąc zapewne pomnożyć swoje bogactwo w hazardzie. Sprzedawano wodę w niewielkich pojemnikach.

- Tylko dziesięć kredytów! - zawołał do Boby jeden ze sprzedawców - Najniższe ceny w arenie.

- Nie, dziękuję. - mruknął Boba.

Odnosił wrażenie, że jego język przypomina kamień - obrzęknięty i suchy.

Lepiej będzie, jak szybko zarobi kilka kredytów... Bardzo szybko...

Nad jego głową fruwały żółte kuliste kamery. Transmitowały dzisiejszy wyścig dla tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na obejrzenie go osobiście.

"*Takich jak ja*" - pomyślał Boba.

Ale nie chciał tracić czasu na myślenie o tym. Miał ważniejszą misję.

Odnaleźć Jabbę.

Szedł dalej. Pod północną bramą zobaczył oddział dobrze uzbrojonych droidów. Ochroniały ogromny mobilny magazyn. Boba pomyślał, że mogła to być broń, o której wspominał Libkath. Jeśli nawet, to w jaki sposób grupka zagłodzonych dzieciaków zdoła ją ukraść?

No cóż, głód jest dobrym motywatorem. Podobnie jak pragnienie.

Jego żołądek zaburczał. Boba spróbował nie myśleć o jedzeniu. Przestał też myśleć o droidach.

Niebo szybko ciemniało, pokrywając się fioletem i granatem.

Bliźniacze słońca Tatooine wisiały nisko nad horyzontem, świecąc złowieszczą czerwienią. Przypominały Bobie oczy mistrza Libkatha.

Inne oczy także mu się przyglądały. Żebracy, obcy sprzedający przemywane towary - kryształ z Kafarri, magrawiańską przyprawę, tanie generatory. Boba wiedział lepiej od ochrypyłych głosów, które słyszał i od tych, którzy próbowali zwabić go do namiotów hazardu.

- Autoryzowane kredyty huttów! Tylko najwyższe stawki!

Boba zatrzymał się. Odwrócił się i zobaczył ogromny namiot. Mógłby spokojnie pomieścić *Slave'a I* i jeszcze jeden statek. Kiedy tak patrzył, wejście do namiotu otworzyło się, by kogoś wypuścić. Pojawił się zimny, biały obłok. Boba zrobił krok do przodu, ciesząc się dotykiem chłodnego powietrza na skórze.

- Ty!

Nad nim górował wysoki, szczupły etti. Był kosztownie ubrany i trzymał w garści błyszczące żetony.

- Żadnych żebraków! - powiedział i zamachnął się na Bobę.

- Nie jestem żebrakiem. - odpowiedział ze złością Boba.

- Nie? - Etti spojrzał na niego i na jego Mandaloriański hełm.

- Nie... Nie sądzę...

Posłał Bobie radosny uśmiech. Z namiotu za nim dał się słyszeć głęboki, niepokojący śmiech.

- Jednak nadal nie jesteś tu mile widziany. Kurjj, pozbądź się tej kreatury! Kimkolwiek jest. Bib Fortuna poinformował mnie, że szef chce oglądać dzisiejsze wyścigi właśnie stąd. Pragnie prywatności. - wysyczał etti, patrząc na Bobę.

Niezdarny droviański strażnik wyszedł z namiotu.

Boba przełknął ślinę, jednak nadal stał w tym samym miejscu.

- Szukam kogoś. - powiedział.

Ogromna ręka strażnika wyciągnęła się w jego stronę, ale Boba ani drgnął. Etti patrzył, a jego zimny uśmiech rozszerzył się. Patrzył, jak strażnik złapał ramię Boby.

- Czekaj... - Etti podniósł długą, cienką rękę.

Droviański strażnik nadal tam stał. mistrz hazardu odwrócił się i spojrzał na Bobę błyszczącymi oczami.

- Zostałeś przez kogoś przysłany? - zapytał chytrze. Wsunął żetony do kieszeni szaty i zatarł podobne do gałązek ręce. - Może twój pracodawca ma interes do mnie?

Boba pokręcił głową.

- Nie. - powiedział. Jego serce zaczęło walić, ale nie ze strachu. - Ja sam siebie reprezentuję.

- Oczywiście. I szukasz...?

Boba wziął głęboki oddech.

- Mam interesy z Jabką.

- Naprawdę? - Etti z rozbawieniem zmarszczył małe oczy. Podniósł głos i pozostawił otwarte wejście do namiotu. - A czego Mandalorianin mógłby chcieć od hutta Jabby?

- To moja sprawa. - odpowiedział wyzywająco Boba.

Odwrócił się i zaczął odchodzić.

- Ho ho ho!

Od strony namiotu rozległ się niski, donośny śmiech, tak głęboki, że wydawał się poruszać ziemię pod stopami Boby.

- Interesy! Zawsze jestem gotów na prowadzenie interesów! Za dobrą cenę! Przyrowadź go, Kurjj! - Boba rozumiał te wypowiedziane w huttyjskim słowa.

Zamarł. Ten głos mógł należeć tylko do jednej istoty na Tatooine. Do jednej istoty w całej galaktyce.

- Twierdzi, że ma interesy z huttem Jabką? - ryknął głos. - W takim razie czas, by się spotkać!

Rozdział 10

Etti otworzył wejście do namiotu, uśmiechając się paskudnie. Drowiański strażnik pchnął Bobę do środka, nie siląc się na delikatność. Boba rozejrzał się.

"Uh..." - pomyślał - "*To nie wygląda dobrze*".

Chyba nigdy wcześniej nie był tak wdzięczny ojcu za hełm, jak właśnie teraz. Modlił się tylko, by istoty z zewnątrz nie mogły zobaczyć jego twarzy.

Kiedy Boba po raz pierwszy spotkał hrabiego Dooku, pomyślał, że ten wysoki, elegancki mężczyzna jest złowrogi, jednak nie przerażający. Jeśli natomiast chodziło o Aurę Sing - była potężna, sprytna i absolutnie bezlitosna.

Ale była łowczynią nagród, jak Boba. Potrafił zrozumieć jej myślenie. Potrafił zrozumieć jej reakcje, a czasem nawet je przewidzieć.

Jednak to - ta rzecz - przed nim, przekraczała jego wyobrażenia. Jej część była zbyt wielka... Gdy był na Aargau, Boba widział siostrzeńca Jabby, hutta Gorgę. Gorga był duży i obrzydliwy.

Ale był niczym w porównaniu ze swoim wujem, Jabbą.

Jabba był nie tylko wielki. Był ogromny.

I ohydny...

Jego ogromne, podobne do ślimaka cielsko, wypełniało większą część namiotu. Spoczywał na szerokiej uniesionej platformie pokrytej pięknymi, ręcznie tkanymi dywanami i gobelinami... Wszystkie pokrywał gruby szlam.

Ludzie Jabby zajmowali każdy skrawek pozostałego miejsca. Niektórzy oglądali wyścig na olbrzymim widekranie. Inni pochylali się nad stołami do gry. Jeszcze inni siedzieli, w milczeniu przesuwając żetony i klejnoty tam i z powrotem, grając w jakąś skomplikowaną grę. Boba widział licznych strażników, drowian, jak również niezdarnych gamorrear, preferowanych przez klan hutów.

Oprócz ochrony, przebywała tam duża grupa artystów i sportowców - żonglerów, tancerzy, akrobatów tak dobrych jak "*zwierzątka*" Jabby. Były to istoty tak brzydkie i groźne, jak sam wielki hutt. Większość z nich zamknięta była w klatkach zwisających z kopulastego sufitu. Boba nerwowo spojrzał na małego vornskra, przyczajonego przy wejściu, na jego przypominający bicz ogon i ostre zęby, obnażone w ohydny uśmiechu.

Miniaturowy vornskr warknął groźnie. Boba uznał to za zaproszenie.

- Eee... Jabbo, panie, jestem wysłannikiem Jango Fetta. - powiedział w huttyjskim.

Ogromna głowa Jabby powoli się odwróciła. Przyjrzał się chłodno Bobie bursztynowymi oczami w kształcie migdałów. Jego żabi język z mlaśnięciem wysunął się z ust.

"*Załóżę się, że istnieją planety mniejsze od niego*" - pomyślał Boba.

Zmusił się do patrzenia na zbliżającego się bossa przestępczego.

- No, no... - zagrzmiał Jabba i spojrzał na Bobę z rozbawieniem i pogardą. - Co my tu mamy? Kolejny ochotnik do dzisiejszych wyścigów? Nie potrzebuję kolejnego pilota. Chyba że któryś zginie na mecie. Ho! Ho! Ho!

Jego ciało zatrzęsło się ze śmiechu. Służba Jabby również się roześmiała. Boba pomyślał, że ich wymuszone rozbawienie brzmiało lepiej niż Jabby.

- Nie jestem tu ze względu na wyścig. - powiedział Boba. Dostrzegł kilku graczy zerkających na niego znad stołu. - Przybyłem...

Zawahał się.

Dlaczego tu przyszedł?

"*Po wiedzę musisz się udać do Jabby*".

Cóż, z pewnością odnalazł Jabbę. Boba spojrzał w górę, by zobaczyć te okropne, wąskie oczy wpatrzone w niego.

- Przybyłem zaoferować ci moje usługi, o wielki. - powiedział w końcu.
Salwa śmiechu zatrzęsła namiotem. Nawet vornskr zawył z radości. Tylko Jabba nadal patrzył na Bobę w milczeniu.

- Jego usługi! - ryknął pilot noghri.

Sprytna Carratosiańska piratka spojrzała na Bobę i parsknęła śmiechem.

- Może posprząta po vornskrze - zasugerowała.

Boba zacisnął pięści, kiedy świńscy gamorreanie dziko ryknęli śmiechem.

- Cisza! - zagrział Jabba.

Natychmiast w namiocie zrobiło się cicho. Boba nie słyszał nawet kliknięć pionków do gry; nic poza własnym oddechem rozlegającym się w hełmie.

Jabba machnął jedną ze swoich małych rączek.

- Co jest takie zabawne? - zagrział po huttyjsku. - Kto uważa, że jego własne usługi są tak ważne? Ty?

Jabba odwrócił się i spojrzał na carratosianina. Jego długi, błydy język wysunął się z ust.

- Może jesteś dyspozycyjna, co?

- N... Nie, panie - wyjąkała. - Chciałam tylko...

Bez ostrzeżenia, potężny ogon Jabby świsnął po podłodze. uderzył w nią i odrzucił.

- Bezcelny! - wykrztusił. Odwrócił się, by znów spojrzeć na Bobę. - Ty też jesteś bezcelny! Nikt nie zbliży się do mnie bez odpowiedniego wprowadzenia.

- Nie wiedziałem - powiedział Boba - Ja...

- Ignorancja nie jest usprawiedliwieniem! - ryknął Jabba - A karą za ignorancję jest śmierć!

Rozdział 11

Śmierć...

Boba zaczął szybko myśleć... A potem szybko mówić...

- Jabbo... Najpotężniejszy z huttów! - zapłakał. Ostrożnie spojrzał w twarz Jabby, starając się nie okazywać strachu. - To właśnie moja ignorancja kazała mi tu przybyć. Jango Fett powiedział mi, że po wiedzę muszę udać się do Jabby. Dlatego do ciebie przyszedłem.

Jabba spojrzał na niego.

- Po wiedzę, co?

Wydawał się zadowolony. Boba odetchnął z ulgą.

- Słyszycie? - Jabba zwrócił się do swojej służby - Przyszedł do mnie po wiedzę! Ryzykował śmierć, tortury i zniewolenie!

"Oho..." - pomyślał Boba.

Jabba odwrócił się w jego stronę.

- Intruzie, miałeś dobry powód, by tu przybyć. Bardzo dobry!

Podobny do ślimaka hutt zerknął na ekran pokazujący wyścigi. W namiocie rozległ się jego dudniący śmiech.

- Niektórzy twierdzą, że potrafię przewidzieć wydarzenia, zanim się wydarzą.

Inni zaczęli się nerwowo śmiać. Jabba pochylił się, patrząc na Bobę chytrym wzrokiem.

- Mówisz, że przysłał cię tu Jango Fett? Słyszałem, że Jango jest martwy. Że został zabity przez Jedi na Geonosis. To prawda?

Kolejny raz Boba był szczęśliwy, że hełm ukrywał jego twarz.

- Tak. - powiedział. To słowo zabrzmiało prawie jak westchnienie. - Tak, to prawda.

- Znam umiejętności Jango. Wiem, że był odważny i zawsze dotrzymywał słowa. Był jednym z najlepszych łowców nagród w galaktyce.

- Niektórzy mogliby powiedzieć, że najlepszym - wtrącił Boba bez namysłu.
- Hmm... - Jabba zmrużył oczy. - Ty też wyglądasz na odważnego, Mandaloriański intruzie. Ale złamałeś zasady, przychodząc tutaj. Dam ci więc wybór.
Mała rączka Jabby wskazała na widekran. Niemal każdy w namiocie skupiony był teraz na oglądaniu wyścigu ścigaczy.
- Powiedz mi, jak myślisz, kto wygra wyścig. Jeśli uda ci się poprawnie przewidzieć wynik, zabiorę cię do mojego pałacu. I będziesz dla mnie pracować.
Boba skinął głową.
- Dziękuję - zaczął, jednak Jabba podniósł rękę, by mu przerwać.
- Jeśli się pomylisz, zabiorę cię do mojego pałacu, ale nie będziesz dla mnie pracować. Będziesz służyć jako jedno z moich zwierzątek.

Rozdział 12

Boba spojrzął na widekran. Liczby i tekst przewijały się przez monitor. Statystyki, nazwy ścigaczy, imiona zawodników, ich rodzinne światy. Potem obraz się zmienił. Boba zobaczył wnętrze ogromnej areny wypełnionej krzyczącymi, dopingującymi i machającymi widzami.

Zastanawiał się, czy Ygabba też tam była... I czy udało jej się zdobyć broń.

Nie mógł jednak długo nad tym rozmyślać.

- Jeszcze trzy minuty! - krzyknął Estral, mistrz gry. - Kończymy zakłady!

Błyszczące ścigacze pojawiły się na widekranie. Boba obserwował je ze zniecierpliwieniem.

Och, chciałbym dostać w swoje ręce jednego z nich!

Silniki pojazdów pozwalały im osiągać nawet 800 kilometrów na godzinę. Droidy kręciły się wokół ścigaczy. Uzupełniały poziom paliwa i dokonywały ostatnich napraw i przeglądów. Boba cieszyłby się, gdyby siedział za sterami jednej z maszyn. Który z pilotów okaże się najlepszy tej nocy?

- Jeszcze dwie minuty - rzucił etti.

Boba przysunął się bliżej ekranu, na którym teraz pojawiały się twarze poszczególnych zawodników. Boba rozpoznawał kilka z nich - gadopodobny Chros-filik z Phu; Gargano; Ody Mandrel, aqualish LobwuWa Loba, będący chyba faworytem w tym miejscu, młody, niecierpliwy aleena, Mab Kador...

Byli także inni, których imion i twarzy Boba nigdy wcześniej nie widział. Jak więc mógł wybrać tego, kto pokona resztę? Ludzie i obcy gromadzili się wokół areny, obstawiając zakłady. Wielu z nich, zanim noc się skończy, straci swoje fortuny. Kilku prawdopodobnie straci życie...

Boba nie chciał być jednym z nich.

Mimo chłodnego powietrza w namiocie, po karku Boby spłynęła strużka potu. Bolało go ramię w miejscu, w którym hełm drażnił jego skórę. Potarł je ostrożnie, myśląc intensywnie. Goście Jabby otoczyli etti, wciskając kredyty w jego długie, cienkie ręce.

- Jeszcze minuta! - zawołał.

Kątem oka boba dostrzegł obserwującego go Jabbę. Młody łowca nagród szybko spojrzął na widekran.

Według statystyk w trzech ostatnich wyścigach Mab Kador nie miał sobie równych. Boba pomyślał, że wyglądał na młodego i wygłodniałego... I miał dobry ścigacz...

"To ten... Ten mógłby wygrać".

Ale kogo Jabba chciał widzieć na wygranej pozycji? Boba słyszał, że boss przestępczy kontrolował wszystko na Tatooine, począwszy od przemytu blasterów, skończywszy na imporcie nielegalnej przyprawy. Każda jaskinia hazardu była pod nadzorem hutta. Każdy

drobny przestępca oddawał Jabbie jakąś część swojego łupu. Tak samo każdy przestępca, któremu udało się wybić i zyskać sławę. Ci, którzy stawali się zbyt ambitni, którzy stwarzali zagrożenie dla Jabby, byli poszukiwani przez łowców nagród i doprowadzani do jego pałacu.

Nawet na odległym Kamino Boba słyszał o tym, co działo się w fortecy Jabby. Nigdy nie pomyślał, że zobaczy to na własne oczy.

- Dwadzieścia sekund!

Boba przełknął ślinę. Wsunął dłoń do kieszeni i dotknął książki, którą dostał od ojca. Nie odważył się jej wyjąć. Czuł jednak, że dzięki niej trochę się uspokoił.

Po wiedzę musisz się udać do Jabby. On ci jej nie da; musisz ją zabrać.

- Czas minął!

Boba wstrzymał oddech. Kiedy podniósł głowę, zobaczył Jabbę, patrzącego na niego tym groźnym wzrokiem.

- I co, młody Mandalorianinie? Masz już swój typ?

Wszyscy w namiocie stłoczyli się przed widekranem. Wszyscy, z wyjątkiem Boby i Jabby. Język gangstera wysunął się z jego ust. Sięgnął do dużego kosza wypełnionego białymi robakami z Ylesii, wziął garść wijącego się robactwa i wsadził do ust. Bobie zrobiło się niedobrze. Z widekranu dał się słyszeć ryk tłumu z areny.

Wyścig się rozpoczął.

- Powiedz mi teraz! - ryknął Jabba. - Mówiłeś, że przybyłeś do mnie po wiedzę. Pokaż, że sam ją posiadasz!

Boba spojrział na hutta.

"On ci jej nie da; musisz ją zabrać"...

I nagle znał właściwą odpowiedź.

Rozdział 13

- Więc? - ponaglił Jabba.

Boba spojrział odważnie na niego.

- O najmądrzejszy z huttów... Zwycięży ten, który chcesz, by zwyciężył.

W namiocie wszystko nagle ucichło... Wszystko z wyjątkiem przyciszonego widekranu.

Boba słyszał dobiegające z zewnątrz krzyki, dźwięki i wiwaty - echo z areny. Słysząc było stłumiony wystrzał z blastera. Jabba spojrział na Bobę Fetta ze swojego podwyższenia. Bardzo powoli podniósł obwisłe ręce. Jego oczy się zwięziły. Całe jego ogromne cielsko zaczęło się trząść. Jego długi, gruby ogon zmarszczył się i zwinął, niczym umierający ślimak.

Jabba się śmiał.

- Ho, ho! - Cały namiot trząsał się od jego dudniącego śmiechu. - Dobrze powiedziane, młody wojowniku. - Chwycił kolejną garść robaków i wepchnął do ust, nie przestając mówić - Mądra odpowiedź! I prawdziwa!

Boba odetchnął z ulgą.

- Dziękuję ci, o najmądrzejszy - powiedział.

Skłonił głowę z szacunkiem. Dobrze, że Jabba nie mógł zobaczyć jego twarzy!

- Ogarnia mnie... Ogarnia mnie wstręt... - dodał do siebie.

- Estral! - zadudnił Jabba, machając małą rączką w stronę mistrza gry. - Pozbieraj ich kredyty! Idziemy!

Boba rozejrzał się zdezorientowany.

- Ale wyścig się jeszcze nie skończył - wypalił.

Jabba obrócił się ze śmiechem.

- Wiem, kto wygra. Mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

Pochylił się do przodu, wpatrując się w Bobę.

- Młody Mandalorianinie... Mówiłeś, że zostałeś przysłany przez Jango Fetta.
Boba skinął głową.
- To prawda.
- Czy więc ty również jesteś łowcą nagród?
- Tak, jestem. - głos Boby był pewny i wyraźny.
- To dobrze. Łowcy nagród zawsze są mi potrzebni. Nawet ci mali. Udasz się ze mną do pałacu. Mój majordomus, Bib Fortuna, zadba tam o twoje wyposażenie. Dopóki nie spłacisz długu wobec mnie, będziesz pod moimi rozkazami.
- Mój dług wobec ciebie? - odezwał się Boba, a w jego głosie dało się słyszeć szczere oburzenie. - Co jestem ci winien?
Prawie natychmiast poczuł na szyi gorący oddech droviańskiego strażnika.
- Jesteś winny śmierć. - wychrzakał drovianin.
Wyciągnął zza pasa zakrzywiony nóż i przysunął go niebezpiecznie blisko twarzy Boby.
- A twoja śmierć będzie powolna. - dodał z krzywym uśmiechem.

Rozdział 14

Boba działał. Nie miał czasu na myślenie.
Bez słowa uskoczył w bok. Nóż strażnika nieszkodliwie świsnął w powietrzu, gdzie jeszcze nanosekundy wcześniej był Boba.
- Co do... - niezdarny obcy zawahał się.
W pobliżu widekranu stał niewielki stolik. Boba chwycił go i zamachnął się, odbijając ostrze drovianina. Goście Jabby zaczęli wrzeszczeć i rozproszyli się na wszystkie strony.
Jabba patrzył na to wszystko, śmiejąc się głośno.
- Zapłacisz za to! - wychrypiał drovianin.
Kiedy strażnik rzucił się w jego stronę, Boba uniósł stolik. Nóż wbił się w drewno. Drovianin walczył, by uwolnić broń, jednak Boba nadal pchał stolik w górę. Następnie rzucił się w bok, kopiąc w kolana strażnika. Z westchnieniem drovianin potknął się i upadł z hukiem. Goście Jabby śmiali się, kiedy Boba zwrócił się do niego.
- Nie jestem niczym niewolnikiem ani sługą. Będę dla ciebie pracować za cenę, którą sam wyznaczę.
Śmiech Jabby ucichł. Hutt spojrział na Bobę i po chwili skinął głową.
- Jesteś w moim typie! Będzie z ciebie dobry łowca.
Hełm, zasłaniający twarz Boby, dodał mu śmiałości.
- A kto powiedział, że już nim nie jestem?
Jabba uśmiechnął się chytrze.
- Już niedługo będziesz miał szansę to udowodnić. Mam robotę do wykonania. Skontaktowałem się już z innym łowcą, ale być może to zadanie powinno być twoje.
Jabba odwrócił się i spojrział z pogardą na drovianina.
- Zabierzcie go z powrotem do pałacu! - rozkazał strażnikom. - I wsadźcie go do klatki.
Drovianin ryczał i wrywał się, kiedy gamorreanie go wyprowadzali.
Boba obserwował ich. Nigdy nie pomyślałby, że mógłby czuć litość dla drovianina. Mimo to, myśl o zwierzętach Jabby dawała nadzieję, że gangster może się zmienić.
- Estral! - zagrzmiął Jabba - Rozkaż Fortunie, by przygotował barki na nasz wyjazd. Natychmiast! Dopilnuj, żeby namiot został rozebrany i żeby nasz nowy rekrut nie pozostawał w tyle.
- Tak jest, lordzie. - odpowiedział etti.

Odwrócił się i spojrział na Bobę. Było oczywiste, że to, co zrobił, nie zrobiło na nim wrażenia.

- Barka żaglowa będzie tu za kilka minut. Możesz zostawić swój śmigacz w ładowni. Jedzenie będzie podawane na głównym pokładzie, kiedy tylko wyruszymy.

- Nie mam śmigacza - odpowiedział Boba.

- Łowca nagród bez pojazdu? - zapytał Estral z pogardą.

- Mój statek jest właśnie poddawany przeglądowi. - odpowiedział szybko Boba. - Jest w doku Mentisa Qinxa.

Estral spojrział na niego z zimnym uśmiechem.

- Qinx wyciąga dużo kredytów za swoje usługi. Żąda ogromnych opłat. Wiele osób nie jest w stanie zapłacić, a wtedy on zatrzymuje ich statki dla siebie. Hutt Jabba zostanie twoim właścicielem, zanim odzyskasz swój statek.

Pod hełmem jednak jego twarz sposepniała. Być łowcą nagród myślącym o wolności, by żyć i podróżować, dokąd się chce, kiedy się chce...

Nie chciał zawsze odpowiadać przed Jabba.

Nie chciał odpowiadać przed nikim poza samym sobą.

Estral jednak miał rację. Boba potrzebował kredytów, by móc zapłacić za naprawy i tankowanie *Slave'a I*. Jabba twierdził, że potrzebuje łowcy nagród. Twierdził, że jest praca, która musi zostać wykonana. Jeśli Boba dostanie tę pracę, będzie mógł zażądać wystarczającej ilości kredytów - a nawet więcej - żeby odzyskać swój statek.

Mógłby wtedy działać na własną rękę i udać się w każde miejsce w galaktyce.

Wtedy będzie wolny.

A nawet lepiej.

W końcu zostanie łowcą nagród.

Rozdział 15

Miesiące wcześniej Boba przebywał na republikańskim statku zwiadowczym Candaserri, statku tak dużym, że wyglądał jak mała planeta. Barka żaglowa Jabby nie była aż tak duża, jednak była wystarczająco duża. Patrząc na nią, Boba odnosił wrażenie, że patrzy na małe miasto w mieście... Na świat w świetle.

Było już ciemno. jedynie jasne światła wokół Areny rzucały na wszystko cienie. Dopiero, kiedy Jabba został przetransportowany z namiotu, Boba i reszta mogli wyjść na zewnątrz. Barka unosiła się nad ziemią. Bib Fortuna, majordomus Jabby, rozkazał opuścić trapy i drabiny. Niewolnicy i słudzy biegali w górę i w dół, przygotowując barcę do podróży.

- Szybciej! - wyszczał Fortuna.

Kiedy Jabba znalazł się na pokładzie, zaczął się niecierpliwić. Kazanie mu czekać było złym pomysłem!

Boba przechadzał się kilka metrów od barki. Kusilo go, by ukraść z namiotu trochę wody i kilka suszonych ninchif, małych rybek, nie większych niż paznokiec Boby. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz cokolwiek jadł.

Odepchnął te myśli i przykucnął na ziemi. Patrzył, jak słudzy Jabby spuszczaają powietrze z przenośnego namiotu, niczym z ogromnego balonu.

Minęło zaledwie kilka minut. więcej sług pojawiło się przy barce, zbierając zawartość namiotu. wyniesiono meble i stoły do gier hazardowych. Będą prawdopodobnie przechowywane w ładowni statku podczas podróży do pałacu Jabby.

Pałac Jabby... Boba słyszał plotki na temat tego miejsca.

To, co słyszał, nie było dobre... Ani trochę.

A teraz, kiedy widział Jabbę, był pewien, że pałac był gorszy od plotek na jego temat. I lepiej być gotowym na wszystko.

Odchylił się do tyłu i przestawił swój hełm. Włączył funkcję widzenia w podczerwieni. Natychmiast wszystko wokół niego pokryła czerń i czerwień.

- Faj! - powiedział, krzywiąc się.

Teraz mógł zobaczyć wszystkie nocne szkodniki z Tatoonie. Wszędzie biegały pustynne szczury, zjadając śmieci pozostawione przez widownię z Areny. Piaskowe skorpiony przechodziły ze skały na skałę, trzymając wysoko swoje szczytce.

Widział kilka postaci pełzających w cieniu. Ukradli metalowe skrzynki i zniknęli w mgnieniu oka.

"*Armia Libkatha działa*" - pomyślał z wymuszonym szacunkiem.

- Wyglądasz na bardzo szczęśliwego. - odezwał się za nim czyjś niski głos.

Boba odwrócił się.

- Ygabba!

Za nim stała smukła postać w obdartych ubraniach.

- We własnej osobie. - powiedziała z uśmiechem.

Jedną brudną ręką dotknęła jego hełmu.

- Było ci lepiej bez tego. - stwierdziła. - Nie jest ci w tym gorąco?

- Jasne, że jest. I chce mi się pić.

Ygabba przykucnęła obok niego.

- No akurat w tej kwestii mogę ci pomóc. Proszę.

Wyciągnęła w jego stronę mały pojemnik z wodą. Boba spojrzał na nią, po czym z wdzięcznością zabrał pojemnik. Rozejrzał się, by upewnić się, że nikt nie patrzy. W końcu podniósł hełm i napił się.

Woda pachniała kurzem i chemikaliami. Były tam kawałki żwiru i piasek. I była zdecydowanie za ciepła.

Ale to była najlepsza woda, jaką kiedykolwiek pił.

- Dziękuję. - powiedział, wypijając wszystko do ostatniej kropli. Oddał jej pojemnik i opuścił hełm. - Znaleźliście to, czego szukaliście?

Skinęła głową.

- Tak. Te wszystkie droidy pilnują, żeby to tam wróciło? To był tylko wabik. Prawdziwa przesyłka broni została ukryta w przesyłce z wodą przekazywanej na najbliższą farmę wilgoci Bestine. Z której zresztą on pochodzi. - dodała, podnosząc pusty pojemnik. - Szczerze mówiąc, zdecydowanie wolę kraść wodę.

- Ale zdobyliście broń?

Ygabba się uśmiechnęła.

- Jasne. - Jej uśmiech przygasł. - Nie mamy wyboru. Jeśli nie zrobimy tego, co rozkaże Libkath, dzieją się złe rzeczy.

- Jakie złe rzeczy?

- Znikają dzieci. Już nigdy nie wracają. Libkath sprzedaje ich jako niewolników lub sługi... Albo jeszcze gorzej.

jej twarz pociemniała. Boba wyobraził sobie zło, które przechodzi Ygabba i pozostali. Jeśli cokolwiek było gorsze od tego, musiało być naprawdę bardzo, bardzo złe.

- Gdzie teraz jest broń? - spytał.

Ygabba wzruszyła ramionami.

- Przemysł jest wielkim biznesem na Tatoonie. Niektórzy twierdzą, że to jedyny biznes. Jest wielu osób, które potrzebują broni.

Boba zastanowił się przez chwilę.

- Więc mówisz, że to jest pierwsze miejsce, w które przemycą się broń? Teraz to Libkath przechytrza innych, okradając ich?

- To prawda. I uchodzi mu to płazem, bo nikt nas nie podejrzewa. Tak jak ci wcześniej mówiłam. Dorośli nie traktują nas poważnie. Dopóki nas nie złapią.

Nagle wstała.
- No cóż, lepiej już pójść. Muszę zobaczyć się z innymi.
- Ygabba, zaczekaj. - odezwał się Boba.
Dziewczyna przystanąła.
- No co?
- Dlaczego nie możecie po prostu uciec? To znaczy... Tatooine jest dużą planetą. Libkath nie jest w stanie was śledzić, jeśli wszyscy uciekniecie. Poza tym, powiedziałaś, że toksyny nie zostaną uwolnione, jeśli nie opuścicie planety.
- To prawda. - Pokręciła smutno głową. - Ale najmniejsi z nas są zbyt mali. Mogą nie nadążyć za resztą.
- Ale możecie poprosić o pomoc. - odpowiedział Boba. - Ktoś musi was wysłuchać. Ktoś musi pomóc.
Oczy Ygabby wypełniły się łzami.
- Nie mamy rodzin. A ci, którzy mają krewnych, zostaną zabici, jeśli kiedykolwiek wrócą do domu. Życie jest wystarczająco trudne tu, na Tatooine. Możemy przetrwać w Mos Espie. Pewnego dnia, kiedy będziemy starsi, znajdziemy drogę do domu. Nie wiem jak... Ale znajdziemy.
Boba pokiwał głową, patrząc na nią.
- Jesteś odważna, Ygabba. - powiedział. - Jeśli istnieje jakiś sposób... Coś, co mogę dla was zrobić, zrobię to.
Ygabba odwzajemniła spojrzenie i uśmiechnęła się.
- Dzięki, Boba.
Spojrzała na barkę żaglową. Wszystko już było gotowe. Załoga naciągała liny, gotowa do odlotu.
- Wygląda na to, że ty też znalazłeś to, czego szukałeś. - powiedziała.
Boba stanął obok niej.
- Tak. Jabba postanowił zatrudnić mnie jako łowcę nagród. - Nie potrafił ukryć dumy w głosie.
Ygabba spojrzała na niego. Na jej twarzy powoli pojawiał się uśmiech.
- Boba Fett, łowca nagród! Na pewno o tym nie zapomnę.
- A ja nigdy nie zapomnę o was.
Na barce rozległ się dźwięk trąby. Jabba był gotowy do odlotu.
- Żegnaj, Ygabba. - odezwał się Boba, biegnąc w stronę barki.
Złapał sznurową drabinę i szybko wspiał się na kołyszący się pokład. Szorstkie ręce złapały go i przewróciły.
- Spadaj stąd! - krzyknął gamorreński strażnik. - Jabba nie chce widzieć tu żadnej hołoty!
- Zostałem zaproszony przez Jabbę - zaprotestował Boba - Jako łowca nagród.
Strażnik roześmiał się szorstko.
- Spadaj! Ty i cała reszta takich jak ty! - Pchnął Bobę w stronę drzwi.
- Ty! - krzyknął Boba, jednak po chwili się rozmyślił.
Rzucił ostatnie spojrzenie na Arenę. Niewielka postać stała w miejscu, w którym jeszcze niedawno stał namiot... I obserwowała go.
- Govanin!
Ogromna ręka popchnęła Bobę przez drzwi w ciemności barki Jabby.

Rozdział 16

Na górnym pokładzie Jabba i jego zaproszeni goście jedli i pili. Grała muzyka. Akrobaci koziołkowali, twi'lekańskie tancerki podskakiwały i obracały się. Barka żaglowa

Jabby wypełniła się powietrzem i popłynęła majestatycznie nad ziemią, kierując się w stronę zachodniego morza wydm. Wysoko, świeciły gwiazdy na czarnym jak hapański aksamit niebie. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa, słodkich, chłodnych sorbetów owocowych, kwiatów, importowanych z odległych zielonych światów... Mrłssiańska harfistka grała i śpiewała, podczas gdy Jabba siedział na tronie i wpychał do ust garście wijących się robaków. Jego goście błakali się po pokładzie. Patrzyli na rozgwieżdżoną pustynię pod sobą, śmiejąc się i pijąc wyborne wino z chandrili.

Niestety, Boba mógł tylko przyglądać się temu wszystkiemu. Mógł jedynie słuchać muzyki i radości, wachać zapachy pysznych mięs i rzadkich owoców.

Był w ładowni pod górnym pokładem. Nie było tu żadnych gwiazd, które rozjaśniłyby ciemność. Przestrzeń słabo oświetlały kołyszące się żarówki zawieszane pod sufitem. Nie było tu ani jedzenia, ani wody. Powietrze było suche i gorące. W dodatku śmierdziało suchą słomą i uwięzionymi stworzeniami. Członkowie załogi, którzy akurat nie mieli żadnych zajęć, przeklinali, uprawiając hazard. Niektórzy spali w porozwieszanych wzdłuż ścian hamakach. Kilku "zabawiało się", grzebiąc kijami w klatkach z nowymi stworzeniami Jabby.

Boba ostrożnie szedł przez zatłoczoną przestrzeń. Zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na zamkniętego w klatce gallioński tripion. Ogromne, podobne do skorpiona stworzenie trzaskało pazurami. Końcówka jego ogona uderzała o pręty klatki, kiedy strażnik wsunął tam kij.

- Już niedługo zostaniesz zjedzony. - zadrwił, a jego towarzysze ryknęli śmiechem.

Jeden z nich spojrział na Bobę.

- Kolejny nowy? - Jego twarz rozjaśnił szyderczy uśmiech - To będzie już trzeci łowca nagród w tym miesiącu, którego Jabba wysyła za Gilramosem!

- Gilramosem? - spytał Boba.

- Pewnie! Naturalna cierń w ognie Jabby. W dodatku cierń, której trudno się pozbyć. Zabił dwóch poprzednich łowców nagród, którzy go szukali.

Strażnik zmierzył Bobę spojrzeniem i zaśmiał się szyderczo.

- Wygląda na to, że będziesz trzeci. - stwierdził i odwrócił się w stronę klatki ze stworzeniem.

- Urok trzeciego razu - wymamrotał Boba.

Podszedł do ściany, starając się utrzymać równowagę. Barka powietrzna poruszała się dość szybko. Boba słyszał nawet, jak ktoś mówił, że dotrą do pałacu przed świtem.

Ale powietrzny jacht nie zawsze poruszał się płynnie. Czasem opadał z okropnym szarpnięciem. Innym razem gwałtownie się unosił - setki metrów w górę. Kiedy tak się działo, Boba był szczęśliwy, że nikt nie widział jego twarzy. Cieszył się, że nie zjadł dużo. Nienawidził choroby powietrznej!

- Więc jesteś kolejnym łowcą nagród - odezwał się czyjś głos. - Jabba musi być naprawdę zdesperowany.

Pomarszczony staruszek zbliżył się do Boby. Nie był wyższy od niego. Ubrany był w splewającą zieloną szatę, zasłoniętą przez długi, poplamiony fartuch. Jego rzadkie białe włosy skrywała prawie biała czapka. Jego twarz była brązowa i pomarszczona, jednak niebieskie spojrzenie należało do konkretnych.

- Ta-ak - powiedział Boba, nieufnie patrząc na mężczyznę - Przysłał mnie tu Jango Fett.

Oczy mężczyzny się rozszerzyły.

- Jango Fett! Gdybym był tobą, zachowałbym te informacje dla siebie. Durge nie będzie szczęśliwy, jeśli to usłyszysz.

Żołądek Boby wywinął koziołka.

- Durge?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nic więcej nie powiem. Najpierw ty powiedz, kim jesteś.
Boba zeszywniał... Nie odezwał się. Po chwili mężczyzna wyciągnął rękę. Skierował się do niszy, gdzie w ścianie umieszczono wąską koję.

- Chodź - powiedział uprzejmie - Czekaj nas jeszcze długa droga do fortecy Jabby. Nie wszyscy, których zatrudnia Jabba, są tacy nieprzyjemni jak ci.

Wskazał na gamorrean zajętych grą z użyciem noży.

- Możliwe, że większość... - dodał - ...ale nie wszyscy. Na przykład ja. Nazywam się Gab'borah Hise. Jestem mistrzem deserów przypisanym do tej barki żaglowej.

Boba się uśmiechnął.

- Są też inni?

- Och tak! Samych kucharzy zajmujących się deserami są dziesiątki! Posiłkiem Jabby mogą być obrzydliwe białe robaki, ale jego goście i gangsterzy mają różne gusta. Ich kaprysy są prawie tak samo okropne jak Jabby. Wciąż muszę myśleć nad nowymi sposobami przyrządzania jedzenia dla nich.

Boba poszedł za nim i usiadł. Gab'borah westchnął, wygładzając przód swojego fartucha.

- Nie od zawsze pracuję dla Jabby. Kiedyś byłem szefem kuchni w kantine Mos Eisley. I byłem bardzo dobry. Jabba usłyszał, jak bardzo i dał mi propozycję nie do odrzucenia.

Boba uśmiechnął się.

- Rozumiem. Nie miałeś wyboru. Musiałeś wziąć tą robotę.

- Nie miałem wyboru - zgodził się starzec - Kiedyś gotowałem dla przemytników i handlarzy, teraz gotuję dla przemytników i gangsterów. Wczesnym wieczorem przygotowałem najbardziej wykwintne potrawy. Płonące, duszone kolliostrąki z pomarańczowym kremem i figami. Wyśmienite! Niestety, Bib Fortuna otrzymał próbkę. Jeden z collypods, choć płonął, nadal żył. Na szczęście udało mi się go zabić. wtedy przekupiłem Fortunę miesięczną wypłatą. Dałem mu też Zizzibbońskiego trufla, zrobionego dziś rano. Bib Fortuna jest na nie bardzo łakomy.

Gab'borah wzruszył ramionami.

- Więc nie wrzuci mnie do jamy sarlacca, co na pewno zrobiłby w innych przypadkach. Ale to jest powód, dla którego zostałem wysłany tu i okryty hańbą.

Wsunął do kieszeni pomarszczoną dłoń i wyjął stamtąd coś małego i okrągłego. Było jasnozielone, przetykane czerwienią i żółcią.

- Proszę. - wyciągnął rękę w stronę Boby. - Schowałem go. Nie martw się, nie jest zatruty. - dodał i aby to udowodnić, odgryzł kawałek. - Widzisz? Spróbuj i powiedz mi, co o tym myślisz.

Boba nieufnie spojrzał na cukierka. W końcu odwrócił się i uniósł nieznacznie hełm tak, by mógł włożyć trufla do ust.

Pachniało wyśmienicie...

Było wyśmienite...

- To jest wspaniałe. - powiedział Boba z pełnymi ustami.

Gab'borah skinął głową.

- W całej galaktyce tylko ja mam na to przepis. To kolejna rzecz, która sprawia, że Bib Fortuna nie pozwoli mnie skrzywdzić.

- Tylko ty? - Boba oblizał usta, delektując się smakiem słodczy.

- Tak... - Gab'borah odwrócił się, a na jego pomarszczonej twarzy pojawił się smutek.

- Zamierzałem przekazać ten sekret mojemu jednemu dziecku i dziedzicowi, ale...

Nie dokończył. W jednej z klutek rozległ się dziwny ryk vrbllthera. Boba przetarł oczy. Było już późno. Chciało mu się spać. Ale najpierw miał jeszcze jedno pytanie do mężczyzny.

- Wcześniej wspomniałeś jedno imię... Durge. - zaczął - Czy on tu jest?

- Durge? - starzec powstrzymał dreszcz. - Łowca nagród o straszliwej sile i niszczy-
cielskich umiejętnościach. - Wyciągnął rękę i dotknął hełmu Boby. - Trzeba być przy nim
bardzo ostrożnym. Durge nienawidzi Mandalorian prawie tak samo jak Jedi. Na jego zbroi są
symbole Mandalorian, których zabił.

- Teraz sobie przypominam. - powiedział Boba, udając, że te informacje były dla
niego czymś nowym.

Poczuł chłód, mimo gorącego powietrza i zapachu stęchlizny w ładowni.

- Chciał być dawcą dla armii klonów.

Gab'borah spojrział na Bobę z szacunkiem.

- Takie krążą pogłoski. - stwierdził - Skąd o nich wiesz?

Boba zawahał się.

- Jango Fett mi powiedział. - wyznał w końcu.

W oczach mężczyzny pojawiło się ożywienie.

- Więc pewnie wiesz, że Durge był szczęśliwy, kiedy zginął Jango Fett. Żałował tylko,
że to nie on zadał Jango śmiertelny cios.

- Tak... - odpowiedział Boba, czując łzy napływające do oczu. Starał się jednak
zapanować nad głosem. - Wiem.

- Musisz także wiedzieć, że twoje życie będzie zagrożone, kiedy Durge cię zobaczy.

- Zostałem wynajęty przez Jabbę, jako jego łowca nagród. - powiedział ostro Boba. -
Jestem pod jego opieką.

Gab'borah pokręcił głową.

- Durge również został zatrudniony przez Jabbę jako jego łowca nagród.

Mężczyzna złapał brzeg koi i zajrzał do zatłoczonej, dusznej ładowni. Gamorrekańscy
strażnicy leżeli na ziemi lub w hamakach, chrapiąc głośno. Tylko dwóch stało przy drabinie
prowadzącej na wyższy pokład. Gab'borah spojrział na nich, a następnie zwrócił się do Boby.

- Ach, młody wojowniku, jeśli chodzi o Jabbę, to nie ma żadnej ochrony... Żadnego
bezpieczeństwa... Jest tylko spryt i siła, jeśli masz bardzo, bardzo dużo szczęścia. A jeśli nie?
Cóż, jest tylko cierpienie.

Starzec wczuł się na hamak wiszący obok.

- Minie więcej czasu, niż już minęło, zanim będziemy w pałacu. - powiedział do Boby.

- Moja dobra rada dla ciebie, to sen. Trudno jest być przebiegłym albo silnym, kiedy nie jest
się wypoczętym.

Sen! Boba patrzył na mężczyznę z niedowierzaniem. Jak można spać w tak
cuchnącym i zatłoczonym miejscu jak to?

Jednak w ciągu kilku minut zastosował się do jego rady.

To był bardzo długi dzień... W końcu Boba mógł zasnąć.

Rozdział 17

Bobę obudził niski warkot. Kiedy otworzył oczy, zobaczył vrbłthera patrzącego na
niego wygłodniałym wzrokiem z wnętrza swojej klatki. Jego zielone oczy błyszczały
złowrogo, a długie, żółte zęby wyszczerzyły się ku Bobie. Chłopak szybko usiadł na koi. Usta
vrbłthera ułożyły się w coś na kształt uśmiechu, kiedy spoglądał na swoje pazury.

Co teraz? Boba rozejrzał się. W ładowni było spokojnie, nie licząc chrapania śpiących
na ziemi gamorrean. Dwaj wartownicy siedzieli obok drabiny z pochylonymi głowami.

Spać w pracy! Boba pomyślał, że coś takiego na pewno nie spodobałoby się Jabbie.

spojrział na miejsce, gdzie Gab'borah spał w swoim hamaku, oddychając ciężko.
Następnie usiadł bokiem na swojej koi, upewniając się, że nikt nie będzie w stanie go
zobaczyć. Podniósł hełm.

Powietrze! Co prawda nie mógł nazwać go świeżym, ale na pewno było lepsze od oddychania przez wizjer. Boba przetarł oczy. Żwir i piasek przykleiły się do jego palców. Wytarł je o tunikę. Następnie ostrożnie wyciągnął swoją książkę.

Położył ją na kolanach i otworzył. Na ekranie świeciły słowa: "*po wiedzę musisz się udać do Jabby*".

Palce Boby zawisł nad ekranem. Dotknął jednego słowa
Jabba...

Natychmiast zdanie zniknęło i pojawił się następny ekran. Wypełniły go słowa. Boba szybko przebiegł je wzrokiem, aż znalazł to, czego szukał.

Pałac...

- Powiedz mi... - wyszeptał, naciskając przełącznik głosu.

Natychmiast ojciec zaczął do niego mówić. Głos był tak cichy, że musiał się skupiać, żeby go usłyszeć.

- Pałac Jabby został zbudowany w miejscu klasztoru B'omarr. Należy za wszelką cenę unikać niższych poziomów. Tam znajduje się więzienie, lochy i kryjówki stworzeń, którym udało się uciec. Najwyższy poziom przeznaczony jest dla ważnych gości Jabby. Mogą zostać tam tak długo, jak przedstawiają jakąś wartość. Przeciętni goście kończą jako posiłek krayta. Albo śniadanie sarlacca. Łowcy nagród zwykle wypadają nieco lepiej, jeśli okazują się skutecznymi.

Głos przycichł jeszcze bardziej. Ekran wypełniła twarz Jango Fetta, patrząca prosto na Bobę.

- Jest jedna zasada, tylko jedna, kiedy masz do czynienia z Jabbą... - powiedział oficjalnie obraz ojca - Nie popełnij błędu.

- Nie zawiodę. - mruknął Boba. Jego palec przejechał po zarysie twarzy ojca.

Przez sekundę Jango uśmiechał się do syna. Potem obraz zniknął i ekran zgasł. Boba zobaczył swoje własne odbicie. Nie wyglądał jeszcze jak jego ojciec, ale nie był też dzieciakiem, którym był wcześniej. Jego spojrzenie stało się twardsze. Jego usta wyglądały na nieprzyzwyczajone do częstego uśmiechu.

Odłożył książkę, przeczesał dłonią włosy i wstał. Przez pęknięcia w ścianach barki przedostawało się światło. Na wyższym pokładzie usłyszał kroki i dźwięk dzwonu.

- Wstawać! - ktoś krzyknął. Na szczycie drabiny pojawiła się wykrzywiona twarz gamorreanina. - Będziemy za piętnaście minut!

Zaspani strażnicy jęczeli i chrząkali. Zaczęli wstawać, kopiąc tych, którzy jeszcze spali na ziemi. Gab'borah poruszył się w swoim hamaku, by po chwili się przeciągnąć.

- Już rano! Mam nadzieję, że dobrze spałeś? - zapytał Bobę, mrugając.

- Jak dziecko - odpowiedział Boba.

- To dobrze. Sen jest ważny dla wojownika. I śniadanie...

Gab'borah rozejrzał się dyskretnie, a następnie wyciągnął z kieszeni dwa małe zawiniątka.

- Proszę - wyszeptał, podając jedno Bobie. - Racje żywnościowe. Nie tak dobre, jak to, co jadłeś w nocy, ale wypełnią żołądek i dadzą ci wartości składników odżywczych na cały dzień.

Boba rozpakował zawiniątko. W środku znalazł coś małego i płaskiego, co wyglądało jak tektura. Powąchał to.

Pachniało jak tektura.

Z zaciekawieniem spojrzął na mężczyznę, który ze smakiem przeżuwał swoją porcję. Wzruszył ramionami i odgryzł kawałek.

Smakowało również jak tektura, ale lepsze to niż nic. Szybko zjadł resztę.

W samą porę.

- Jesteś potrzebny na pokładzie. - Gamorreanin uderzył włochatą pięścią w żołądek Gab'boraha.

Starzec zgiął się i zaczął pospiesznie wchodzić po drabinie. Boba odczekał chwilę i zaczął wchodzić za nim.

- Hej, nikt nie mówił, że ty też jesteś potrzebny!

Gamorreanin złapał Bobę za ramię. Vrbllther, zamknięty w klatce, wydał z siebie przerażający krzyk.

- Jest głodny. - stwierdził gamorreanin, a jego świńskie oczka zaświeciły się z nieskrywaną złośliwością. - Chyba trzeba dać mu małą przekąskę!

Boba zaczął walczyć ze strażnikiem.

- Jestem tu na życzenie Jabby! - krzyknął. - Puść mnie, bo pożałujesz!

Strażnik uśmiechnął się szyderczo.

- Jabba nie potrzebuje kolejnych łowców nagród. Stracił już tak wielu.

Boba wymierzył kopniaka w brzuch gamorreanina. Z rykiem bólu i wściekłości strażnik cofnął się, unosząc pięść.

- Dlaczego, ty!

- Przepraszam - Gab'borah odchrząknął i rzucił strażnikowi lodowate spojrzenie. - Ten wojownik jest tu na specjalne życzenie Jabby... I moje. Pomoże mi w przygotowaniu porannego poczęstunku dla Jabby.

Strażnik spojrzał na starca.

Gab'borah odwzajemnił spojrzenie.

- Nie chciałbym być odpowiedzialny za fakt, że Jabba musi czekać na swoje śniadanie. - powiedział - Chodź.

Skinął na Bobę. Krzywiąc się, strażnik patrzył, jak Boba pospiesznie przyłącza się do starego kucharza.

- Naprawdę przygotowujesz śniadanie dla Jabby? - wyszeptał Boba, wspinając się na górę.

- Nie. - Gab'borah wyciągnął rękę, by wciągnąć Bobę na pokład. - On najczęściej zjada te odrażające białe robaki. Ale gamorreanie są zbyt głupi, żeby o tym pamiętać.

- Świetnie. - zgodził się Boba.

Gab'borah spojrzał na niego z dziwnym smutkiem.

- Jesteś odważny, młody człowieku. - powiedział. - I pełen szczęścia. Wielu takich jak ty na Tatooine po prostu znika... Zostają porwani... Ich rodziny już nigdy o nich nie słyszą... Ich los jest dla nas nieznanym.

Smutek w oczach starca pogłębiał się. Kiedy tak na niego patrzył, Boba również robił się smutny, ale też podekscytowany.

- Widziałem ich... - zaczął - Oni...

Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, pojawił się ubrany w ciemne szaty Bib Fortuna.

- Ty... - rozkazał cienkim głosem. Jego szponiasty palec skierował się na Gab'boraha. - Jesteś potrzebny w kuchni... Natychmiast!

Gab'borah skłonił się.

- Jak sobie życzysz. - zwrócił się do Fortuny, po czym spojrzał na Bobę. - Będę w siódmej kuchni. - Mruknął - To moje zwyczajowe miejsce pracy.

Boba spojrzał na niego. Zrozumiał, że starzec w ten sposób chce mu powiedzieć, jak można go znaleźć.

- Żegnaj. - powiedział Boba. Gab'borah uśmiechnął się i odszedł.

Bib Fortuna odwrócił się ze zniecierpliwieniem.

- A ty... - Jego pomarańczowe oczy zatrzymały się na Bobie. - Ty przygotuj się na audiencję u Jabby. Ostrożnie dobieraj słowa. - dodał, uśmiechając się drwiąco. - Bo prawdopodobnie będą one twoimi ostatnimi!

Rozdział 18

Boba patrzył, jak twi'lek kierował się do podniesienia na głównym pokładzie. Nad nim rozpięty był jaskrawy żółty baldachim. Pod baldachimem był cień. Było schronienie przed bliźniaczymi słońcami Tatooine, już ostro świecącymi. Był stół z jedzeniem i dzbanem chłodnej wody, cennej, niczym kamienie szlachetne na tej planecie.

I był Jabba. Leżał na platformie, jedną ręką chwytając podobnego do żaby wuorla. Następnie z rozkoszą wsadził go do ust. Boba wziął głęboki oddech, poprawił hełm i podszedł bliżej.

- O najpotężniejszy z hutów... - powiedział. Jego głos był pewny i pełny szacunku. - Oczekuję twoich rozkazów.

Jabba przeżuł głośno i przelknął.

- Mówisz, że jesteś łowcą nagród? - zapytał.

- Tak, o potężny Jabbo.

Jabba spojrzał na hełm Boby. Boba poczuł strużkę potu spływającą mu po karku. Cieszył się, że Jabba nie mógł zobaczyć jego twarzy...

A może mógł?

- Jesteś mały, jak na Mandaloriańskiego wojownika. - powiedział Jabba powoli po huttyjsku. Jego oczy się zwięziły. - Mam niebezpieczne zadanie. Wymaga ono odwagi i umiejętności.

- Mam wszystko co trzeba. - zapewnił Boba.

- Inni też tak mówili. - Jabba zaśmiał się. - Ich kości leżą teraz w jamie acklay'a.

- Wybacz, o potężny... - Bib Fortuna stanął na platformie obok gangstera. - Dotarliśmy do pałacu. - powiedział, opuszczając głowę.

Kiedy mówił, barka żaglowa gładko się zatrzymała. Pokład pod stopami Boby zaczął się przechylać. W porę złapał równowagę, by nie upaść.

- O wielki Jabbo... - zaczął - Chciałbym...

- Cisza! - ryknął Jabba i spojrzał na Bobę. - Za pięć minut chcę się spotkać z tobą i innymi łowcami nagród w mojej sali tronowej. Tam przydzielę ci zadanie. Jeśli się spóźnisz, podejmę inną decyzję.

Zaczął się śmiać długo i szyderczo.

- Ta decyzja będzie dotyczyć moich arachnidów bojowych. Od kilku dni nic nie jadły. Myślę, że kiedy są głodne, walczą zdecydowanie lepiej.

Boba poważnie skinął głową.

- Nie spóźnię się - powiedział.

Ale Jabba już odszedł.

Na pokładzie zapanował chaos. Ludzie pośpiesznie podnosili i opuszczali drabiny i rampy. W miejscu, w którym miał pojawić się Jabba, była szeroka rampa.

- Ruchy! - krzyknął strażnik. Boba podszedł do bariery, osłaniając oczy od płonących słońc. I patrzył... Po raz pierwszy w życiu widział pałac Jabby.

- Wow... - westchnął.

Wokół niego rozciągał się widok na morze wydm. Ponad czerwonym piaskiem i głębokimi kanionami majaczyły odległe góry. Daleko, daleko, po pustyni poruszały się małe, czarne figurki - stado dzikich banth.

Gdzieś tam mieszkali tuskeńscy jeźdźcy, barbarzyńscy ludzie piasku. Gdzieś jawowie przeszukiwali kosmiczne statki i opuszczone farmy wilgoci.

Ale tu nie było ludzi piasku... Nie było jawów.

Tu była ostoja hutta Jabby.

To była ogromna twierdza, najpiękniejsza i najdziwniejsza z rzeczy, jakie Boba kiedykolwiek widział. Ogromna centralna wieża wyrastała z pustynnych klifów tak wysoka,

jak góra. Wokół niej smukłe wieżyczki i iglice rzucały na piasek purpurowe cienie. Śmigacze błyszczały pod nimi, przenosząc towary i gości.

- Imponujące, prawda? - zauważył głos droida.

Boba odwrócił się, by zobaczyć za sobą humanoidalnego PD, droida protokolarnego. Jego żółta, plastalowa powłoka błyszczała w porannym słońcu.

- Tak, to prawda. - odpowiedział Boba, poprawiając hełm, by osłonić oczy przed blaskiem.

- Dawno, dawno temu, był tu klasztor B'omarr. - mówił dalej droid. - Było tu wtedy wiele tysięcy mnichów. Teraz jest ich tylko kilku. Ich mózgi zostały umieszczone w obudowach droidów-pająków. Można czasem zobaczyć ich na wyższych poziomach.

Boba skrzywił się wewnątrz hełmu.

"Fuj" - pomyślał. - *"Trzeba pamiętać, by nie chodzić na wyższe poziomy!"*

- Rusz się! - ryknął gamorreanin.

Boba podszedł do zatłoczonej rampy. Droid szedł obok niego. Kiedy dotarli do rampy, pustyne powietrze rozbrzmiało ogłuszającym rykiem.

- Wow! - krzyknął Boba. - Co to?!

Spojrzał w górę. Nad nimi przeleciał ogromny śmigacz. Za nim ciągnęły się kłęby pary. Na śmigaczu siedziała okrakiem potężna postać. Do ramion zbroi przyczepiona była broń. Nad jego ogromnymi rękami błyszczały granaty, niczym kryształowe oczy.

Pojazd kierował się w stronę cytadeli Jabby. Boba dostrzegł zarys symbolu Mandaloriańskiej czaszki, świecącej czerwono na srebrzystej zbroi.

- To Durge. - powiedział droid. - Jabba dowiedział się, że jest na Tatooine i przedstawił mu jakąś ciekawą ofertę.

Droid patrzył na Bobę. Jego okrągłe oczy były pozbawione emocji.

- Ten, kto zawiedzie, staje się nagrodą dla Durge'a. - kontynuował. - To czyni jego odruchy ostrymi. Woli żywe nagrody. To dlatego jest największym łowcą nagród w tym miejscu.

Boba spojrzał w oczy droida i potrząsnął głową.

- Durge jest największym łowcą nagród? - spytał, zastanawiając się nad tym, co mógłby powiedzieć jego ojciec. - W takim razie czas, by to zmienić!

Słowa Boby brzmiały odważniej, niż sam Boba się czuł. Droid jednak tego nie zauważył.

- Chodź. - powiedział droid.

Za nimi stali niecierpliwi gamorreanscy strażnicy z wyciągniętą bronią.

- Będę cię eskortować do sali tronowej.

- Dzięki. - odpowiedział Boba. - Nigdy wcześniej tu nie byłem.

- Nie dziękuj. - odezwał się droid swoim zimnym, mechanicznym głosem. - Wątpię, że jeszcze kiedyś tu wrócisz.

Bez słowa Boba ruszył za droidem po rampie do twierdzy Jabby.

Rozdział 19

Wnętrze pałacu było ciemne i zimne. Boba odetchnął głęboko z ulgą.

- Och, tak lepiej! - powiedział droidowi.

Ale jego ulga nie trwała długo. Duża, pająkowata istota na długich nogach przeszła obok. To, co zdawało się jej głową, w rzeczywistości było przezroczystym pojemnikiem wypełnionym płynem. Wewnątrz pływało coś, co wyglądało jak mózg.

- Czy to mnich? - zapytał Boba, gapiąc się na nietypowe zjawisko.

- Nie - odparł droid i zaczął iść w dół ciemnej hali - To ostatni łowca nagród, jakiego Jabba wysłał za Gilramosem. No, to, co z niego zostało.

Boba patrzył, jak kreatura przemyka w ciemności. Następnie pośpieszył za droidem. Za nimi, klekot pajęczych nóg droida ucichł.

- Dlaczego nikt nie jest w stanie pojmać Gilramosa? - zapytał.

- Tatoonie to duża planeta - powiedział Droid - Bardzo wyludniona. Na pustyni jest wiele miejsc, gdzie można się ukryć. Można spędzić życie, poszukując wroga, nigdy go nie znajdując.

- To tam się ukrywa Gilramos? - zapytał Boba - Na pustyni?

- Tam, tak myślą łowcy. Tutaj... - Droid się zatrzymał i wskazał na wysoki, rzeźbiony łuk - To sala tronowa Jabby. Zostawiam cię tutaj - powiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

Boba patrzył, jak się oddala. Serce miał niczym kamień w klatce piersiowej. Spojrzał na łuk. Gdy przez niego przejdzie, znajdzie się w centrum królestwa Jabby.

Będzie na jego łasce.

Nie! pomyślał. Wsadził rękę do kieszeni i dotknął znajdującej się tam książki. Natychmiast poczuł się spokojniejszy.

Strach to energia.

Tego nauczył go ojciec. Jeśli panujesz nad własnym strachem, staje się on siłą.

A siła czyni cię silnym.

Boba wziął głęboki wdech. Czuł jak bije mu serce, ale nie przerażało go to. Spojrzał na łuk.

Z wnętrza słyszał muzykę, głosy, piskliwe krzyki i głęboki, potężny śmiech. A także suchy, bezlitosny niczym burza piaskowa głos.

Jabba.

I Durge.

- Czas brać się do pracy - powiedział Boba i wszedł do środka.

Sala tronowa była wielka, Migoczące ogniki wzrastały i opadały wewnątrz długich lamp. Cieniste postacie tańczyły i skakały. Ktoś grał na flecie. Boba mógł wyczuć dym.

I piekące się jedzenie. Blisko tronu Jabby obracał się rożen, na którym znajdował się duży demoniczny kalmar, jego macki były ładnie przybrązowane. Boba stracił apetyt.

- Łowca nagród! - wykrzyknął będący górzystą postacią pośrodku pokoju Jabba - Podejdź!

Boba zrobił krok naprzód.

- Wasza wielka Huttowość - powiedział i uklonił się - Przybyłem, by wysłuchać twych rozkazów.

Boba spojrział w górę. Jabba siedział na swym tronie, patrząc zmrużonymi oczami na Bobę. Wokół tancerze i śpiewacy zatrzymali się. Także gapili się na Bobę. Ich oczy były okrągłe ze strachu.

I oczekiwania.

- Czy pozwoliłem ci się odezwać?- wykrzyknął Jabba, wychylając się do przodu i rzucając cię na Bobę.

- Nie - zawahał się Boba - Ale...

Z cienia Jabby wychynęła inna postać. Duża i umięśniona, w lśniącym srebrnym pancerzu.

To był Durge.

- Czy mam go zniszczyć? - zapytał, unosząc ramię i celując blasterem w Bobę. Na jego klatce piersiowej zdawała się płonąć mandaloriańska czaszka.

Boba zeszywniał. Kątem oka mógł dostrzec strażników Jabby, całe tuziny. Drzwi były zablokowane.

Spojrzał w dół, zobaczył długie żłobienie w podłodze.

Zapadnia. Jabba trzymał w jamie bestie na potrzeby swej zdeprawowanej rozrywki. I by karać tych, z których usług nie był zadowolony. Tą drogą też jednak nie wyjdzie.

Boba spojrział w górę. Na sklepieniu krzyżowały się belki. Kotowate, kłapiące kłami zwierzęta, Shooki były do nich przyczepione łańcuchami. Ich złe, czerwone oczy obserwowały Bobę głodnym wzrokiem.

Durge zrobił krok ku Bobie.

- Z przyjemnością cię zabiję - powiedział, celując blasterem.

- Może przyjemnością dla Ciebie - zagrzmiał Jabba - Ale nie dla mnie.

Zrobił gest ku niecierpliwemu Durge'owi. Wielki łowca nagród wciąż gapił się na Bobę. Wewnątrz jego bojowego hełmu oczy zaświeciły mu się szkarłatem. W końcu opuścił blaster.

- Jak nie teraz - powiedział - to później.

- Mam zadanie - kontynuował Hutt Jabba - Ktoś wmieszał się w moje przemysłowe interesy. Ktoś odmówił pracy dla mnie. Ten ktoś musi zginąć.

- Zajmę się tym - powiedział Boba. Jego głos odbił się głośnie echem w sali tronowej.

- Tak mówisz - Jabba odchylił się z powrotem na swym tronie. Wyciągnął swą wiotką rękę, która natychmiast została przez jednego ze sługusów napelniona wijącymi się robakami. Jabba żuł je w zamyśleniu. W końcu wskazał na Bobę i powiedział - Mandalorianinie, nie masz żadnej broni!

Opasły przestępca zaczął się śmiać. Zewsząd z sali zaczęły dobiegać śmiechy

Jedynie Durge zachował milczenie. Dalej gapił się na Bobę z nienawiścią.

Boba potrząsnął głową. *Szybko, myśl!*

- To fakt, ponieważ, o wyniosły Jabbo - powiedział szybko - Czekałem, by otrzymać swą broń od Ciebie i tylko od Ciebie. Ponieważ jesteś najwspanialszym spośród swego rodzaju. A ja będę najwspanialszym spośród łowców nagród!

- Dobra odpowiedź - odpowiedział Jabba, uśmiechając się.

Boba odwrócił się i spojrział bez strachu na Durge'a - I prawdziwym!

Łowca nagród sięgnął po swój blaster.

- Za te słowa poniesiesz ogromny ból. Myślę, że to czas, by zobaczyć, co masz pod maską!

Z krzykiem, Durge rzucił się ku niemu.

Rozdział 20

-Hoo ho! - Jabba zatrząsł się w zachwycie - Durge i nieuzbrojony wojownik!

Boba nie tracił czasu. Nim Durge mógł go złapać, zanurkował między jego nogi.

Jabba się zaśmiał, krzyżąc - Szybki jest!

- Nie dość szybki - krzyknął jednak Durge.

Z jego broni wyleciał pomarańczowoczerwony pocisk. Boba przeturlał się i natychmiast znów stanął na nogi. Rozejrzał się wokół.

Kilka metrów dalej znajdował się rozeń, z którego niczym duża, pusta rękawica zwisała kałamarnica. Płomyki ognia wędrowały w górę i w dół po jej mackach.

Boba ruszył, szybko niczym uderzenia serca. Chwycił za jeden z końców różna. Metal był ciepły, ale nie parzący. Mrucząc, Boba uniósł go, obracając się.

- Ty! - wykrzyknął Durge. W jednej ręce trzymał Blaster, w drugiej sztylet.

Ale jedyne, co widział Boba, to gorejąca na jego klatce piersiowej mandaloriańska czaszka. Boba krzyknął, a następnie zamachnął się długim metalowym prętem. Skwierczące macki kałamarnicy rozsunęły się niczym ostrza. Uderzyły one Durge'a w twarz - na chwilę był oślepiony.

- Argh!

Chwila była wszystkim, czego Boba potrzebował. Boba uderzył metalowym prętem w klatkę Durge'a. Kałamarnica eksplodowała, uwalniając rozgrzany tłuszcz i spryskując nim twarz Durge'a.

- To cię nauczy! - wykrzyczał Boba. Dusząc się, odwrócił się do Jabby - Teraz, możemy...

- Nie tak szybko, Mandalorianinie!

Boba skoczył w bok, ale nie dość szybko. Coś leciało ku niemu: ostrze Durge'a. Kucnął, ale poczuł cios trafiający w hełm. Zaraz nastąpiła kompletna ciemność. Następnie światło i powietrze wróciły, owiewając jego twarz. Obok siebie usłyszał dziwne uderzenie.

- Co to ma być? - wykrzyknął zaskoczony Jabba. Podniósł się ze swego tronu, jedną ze swych pulchnych dłoni wskazując coś na podłogę.

Boba zamrugał i spojrzał na ziemię obok siebie. Prosto w pusty wizjer swego hełmu.

- To tylko chłopak! - zapiszczała jedna z Twi'lekańskich tancerek Jabby. Jej niebieska skóra błyszczała niebiesko, gdy spojrzała pogardliwie na Durge'a - Ten nowy łowca nagród to tylko chłopiec!

- Chłopiec? - powtórzył Jabba. Przez chwilę milczał.

Boba zamarł. Ręką sięgnął ku hełmowi, ale nie odważył się ruszyć. Kilka metrów dalej stał także Durge, patrząc na niego. Jego próby pozbawienia Boby maski się powiodły.

Jabba zaczął się śmiać - Chłopiec! I pokonał Durge'a!

- Nie dożyje dorosłości! - oświadczył Durge i z krzykiem ruszył ku Bobie.

- Stój! - zagrmiał Jabba. Tuzin gamorrekańskich strażników otoczył łowcę nagród. Durge uniósł blaster. Pojawiło się więcej strażników. Niechętnie schował broń do kabury. Spojrzenie, które posłał Bobie, zawierało więcej furii i czystej nienawiści, niż Boba kiedykolwiek widział. Gdy się odezwał, mówił niskim głosem, który tylko Boba mógł usłyszeć.

- Dopadnę cię. To moje zadanie, a nigdy nie zostawiam zadań niedokończonych.

Boba szybko się odwrócił. Podniósł swój hełm i trzymał go pod ramieniem. Następnie spojrzał w górę, na tron. Wiedział, że boss przestępczy jest jego najlepszą opcją zapewniającą bezpieczeństwo.

- O mądry Jabbo - powiedział - Pozwól, bym ci służył. Uzbrój mnie, daj mi śmigacz. Następnie powiedz, czego oczekujesz, a to wykonam.

- Uzbroić cię? - Na ustach Jabby pojawił się drwiący uśmiech - Ale ty nie potrzebujesz broni! Właśnie nam to pokazałeś! A co do moich oczekiwań...

Ślimakopodobny gangster przeniósł swój wzrok z Boby na Durge'a - Ktoś wmieszał się w moją działalność przemytniczą, tutaj, na Tatooine. Posiada on grupę złodziejasków, którzy mu pomagają. Kradną moje transporty broni, którą on następnie sprzedaje.

- Komu ją sprzedaje? - zapytał Boba.

- Separatystom - Jabba pochylił się do przodu - Ale nie dbam o to, komu ją sprzedaje. Dbam jedynie o to, że zabrał mi to co moje. Chcę, by został zniszczony. Chcę, by zginęli także jego współpracownicy.

Boba przytaknął - Znasz jego imię?

- Tak. Jest neimoidianinem. Jego imię to Gilramos Libkath.

- Gilramos Libkath? - powtórzył Boba, niedowierzając.

- Tak powiedziałem - powtórzył Jabba niecierpliwie - Znasz go?

Libkath! To tego imienia użyła Ygabba, mówiąc o Mistrzu! Boba ukrył jednak swą konsternację.

- Czy go znam? - powtórzył. Szybko spojrzał na Durge'a. Nienawidzący go łowca nagród był dwa razy większe od niego. Był uzbrojony. Miał śmigacz. I nienawidził Mandalorian. A oceniając po tym, jak się teraz gapił na Bobę, to właśnie jego nienawidził

najbardziej z nich wszystkich. Miałem szczęście, pomyślał Boba. Dwukrotnie wziąłem Durge'a z zaskoczenia. Ale on nie dopuści, by stało się to ponownie. Boba mocniej chwycił hełm. Jego największą siłą w tej chwili była posiadana wiedza. Wiem, kim jest Gilramos Libkath. Wiem, gdzie jest. Boba musiał się jednak poprawić w myślach. Wie, gdzie będzie, gdy pojawi się, by odebrać broń, którą Ygabba i inni ukradli dla niego.

- Zadałem ci pytanie! - powtórzył Jabba - Czy znasz Gilramosa Libkatha?

Boba się zawahał, następnie potrząsnął głową - Nie. Ale znajdę go.

- Nie ufaj mu! - wtrącił się Durge, zgromadzeni wokół niego Gamorrekańscy strażnicy warknęli pod nosami - Już raz cię oszukał! Zrobi to ponownie!

Durge machnął pięścią ku Bobie - Oddaj go mnie, Jabbo! Sprawię, że jego kłamstwa umrą wraz z nim!

Jabba rozważył słowa Durge'a, po czym odwrócił się do Boby - Mówi prawdę. Oszukałeś mnie... a ci, którzy to robią, nie dożywają okazji, by o tym powiedzieć.

- O Wielki i Ogromny, nie oszukałem cię - jego głos był gładki i pochlebny - Nigdy nie zdołałbym oszukać twojej wspaniałej mądrości. Chciałem Ci tylko pokazać, jak nieprzygotowany jest ten łowca nagród... zwodząc go.

Gdy wskazał na Durge'a, Jabba odwrócił się, by na niego spojrzeć.

- Ah! - zgodził się potężny gangster i uśmiechnął - Oczywiście, wiedziałem o tym.

Roześmiał się. Wokół niego jego sługusi także pozwolili sobie na śmiech.

- Dziękuję Ci, o Jabbo - powiedział Boba i spojrzał na niego śmiało - Teraz, jeśli dasz mi nową broń, wyruszę. Nie wrócę, nim nie pojmem Gilramosa Libkatha.

- Dać Ci broń? - głos Jabby stał się zimny - Ja niczego nikomu nie daję.

Skinął na alkwę, z której natychmiast wyszedł czekający na rozkazy Bib Fortuna. Jabba zwrócił się do niego - Ci łowcy nagród marnują mój czas. Gadają, gdy powinni działać. Ten - Jabba wskazał na Durge'a - pozwala pokonać się byle chłopcowi! Jego refleksy stały się opóźnione... - na twarzy Jabby pojawił się chytry uśmiech - Durge musi wyostrzyć swe umiejętności. Wtedy będzie polować szybciej. Będzie polować skuteczniej.

- Wyostrzę swe zęby na kościach tego chłopaka! - krzyknął Durge.

- Może - Jabba potrząsnął głową - Ale wpieryj się z szeregiem bestii z mej jamy.

Boba odskoczył do tyłu, gdy ziemia pod nim zadrżała.

Zapadnia się otwierała!

- Arachnidy bojowe! - pisnęła Twi'lekańska tancerka.

Podniecone pomruki wypełniły pomieszczenie. Gamorrekańscy strażnicy popychali się w oczekiwaniu. Durge spojrzał na Bobę, a potem uniósł wyzywająco pięść w kierunku Jabby.

- Pokonam je! - krzyknął.

U ich stóp pojawiła się szeroka szczelina w podłodze. W środku widać było tylko ciemność.

A z ciemności docierało kwilenie. Boba patrzył, jak dwa ogromne Caridańskie arachnidy bojowe przemierzają podłogę jamy. Każdy miał dwanaście ostrych i pokrytych kolcami odnóży. Jeszcze więcej kolców znajdowało się na ich plecach. Ich otwarte gęby ukazywały szereg przypominających sztylety kłów. Ponad zębami tuzin oczu błyszczał niczym trujące klejnoty.

Boba wstrzymał oddech. Na ten dźwięk arachnidy się obróciły i spojrzały w górę. Dwadzieścia cztery pajęczce oczy obserwowały Bobę, nie mrugając.

- Są głodne - mruknął Bib Fortuna i się uśmiechnął.

- Jeśli chodzi o Ciebie - Jabba spojrzał na Bobę - To jeśli umiejętności Durge'a nie zardzewiały bardzo bardzo, przetrwa.

- A wtedy cię dopadnę - powiedział Durge. Jego szkarłatne oczy wciąż obserwowały Bobę - Dopadnę!

Rozdział 21

Bobe przeszył strach. Spojrzał na Jabbę.

- Nie mam broni, o wielki...

- Śmiesz ze mną dyskutować? - ryknął Jabba - Masz przewagę na starcie... kilka minut, jak dopisze ci szczęście. Kilka sekund, jeśli nie.

Jabba dał sygnał gamorreanским strażnikom. Chwycili oni Durge'a. Stawiał jedynie minimalny opór; chciał walczyć. Zaciągnęli go na skraj podłogi. Poniżej arachnidy uniosły groźnie swe odnóża. Ich głodne gęby kłapały, otwierając się i zamykając.

- Rzućcie go - polecił Jabba.

Chrzążąc z przyjemnością, strażnicy zepchnęli Durge'a do jamy. W ostatnim momencie, nim do niej wpadł, jego wzrok padł na Bobę.

- Już wkrótce się zobaczymy - krzyknął Durge - I to po raz ostatni!

Wielki łowca nagród uderzył ciężko o podłoże jamy. Jego broń była już w gotowości, a oczy płonęły.

Arachnidy bojowe ruszyły ku niemu. Kula ognia wystrzeliła z blastera Durge'a.

Jaki by nie był, Durge nie jest tchórzem, pomyślał Boba.

Złowieszczy głos rozbrzmiał w uchu Boby.

- Chciałbyś do niego dołączyć? - zapytał Bib Fortuna.

- Nie, dzięki! - odparł Boba i wycofał się z dala od wlotu jamy. Na swym tronie Jabba zjadał właśnie pełną rękę robaków. Beknął i spojrzał na Bobę.

- Może musisz też popracować nad swoim refleksem?

Boba uklonił się pośpiesznie.

- Powrócę, z Gilramosem Libkathem! - powiedział.

- Nie tylko Gilramosem - zastrzegł gangster - Chcę też, by wyeliminowano jego podwładnych. Co do jednego.

Bobie zaschło w ustach. Pomyślał o Ygabbie i innych dzieciach. Pamiętał upiornie świecące oczy na ich rękach. Pamiętał na jak bardzo zmęczonych wyglądali. Jak głodnych.

Jak zrozpaczeni i jak smutni byli.

- Zajmę się nimi, Wasza Wyniosłość - odparł Boba.

I mam zamiar to zrobić! pomyślał. Ale Jabba nie musi wiedzieć dokładnie jak.

Odwrócił się i wybiegł z sali tronowej.

- Co teraz? - wymruczał Boba do siebie. Wiem, gdzie jest Gilramos, ale jak się tam dostać?

Biegł, aż dotarł do końca długiego korytarza. Zatrzymał się dysząc i się rozejrzał.

Korytarz rozdzielał się na dwa wyjścia. Jedno z nich było jasno oświetlone, dobiegało od niego zimne powietrze. W oddali boba dostrzegł droidy serwisowe i droviańskiego sługę czekającego przy drzwiach.

Odwrócił się do drugiego przejścia. Było ciemne. Podłoga była szorstka.

Ale dobiegał stamtąd dobry zapach. Zapach jedzenia. Zapach gotowania.

- Gab'borah!

"Siódma kuchnia" - powiedział stary mężczyzna - *"To moje zwyczajowe miejsce pracy"*.

Boba biegiem ruszył przez ciemne przejście. Zapach gotowania stawał się coraz silniejszy. Po minucie dotarł do otwartych drzwi. Zajrzał do środka.

Była to wielka kuchnia. Para wodna wypełniała powietrze. Na otwartym ogniu bulgotały garnki. Wydropodobny Seloniański kucharz stał przy nich, mieszając. Spojrzał na Bobę i zmarszczył brwi.

- Czy to siódma kuchnia? - wydyszał Boba.

Selonianin potrząsnął głową. Zanurzył w garnku długą łyżkę, gdy ją podniósł, pokazał na niej grubą, różową larwę.

- To pierwsza kuchnia - odparł. Skierował parującego czerwia ku Bobie - chcesz spróbować?

-Uh, nie dziś! - odparł Boba.

Wrócił do korytarza. Spojrzał ku głównemu wejściu, gdzie mógł zobaczyć biegające tam i z powrotem postacie. Usłyszał krzyki.

-Durge już się wy dostał - powiedział - Szybki jest... ale ja jestem szybszy!

Pobiegł do kolejnych drzwi. Wzdłuż ścian były ustawione pojemniki wypełnione wodą. Wewnątrz znajdowały się zielone i niebieskie skorupiaki seafah. Inny przysmak, rekiny Lambro pływały niespokojnie tam i z powrotem.

- Kuchnia siódma? - krzyknął Boba do droida wrzucającego skorupiaki do gotującego się kotła.

- Tędy - odparł droid, wskazując kierunek.

Z powrotem do korytarza! Hałas z odległego końca był teraz większy. Boba nie marnował czasu na oglądanie się, podbiegł do kolejnych drzwi, a potem do jeszcze kolejnych.

W trzeciej kuchni znajdowały się kadzie wypełnione bulgoczącym gulaszem z mugruebe. Zapach był tak dobry, że Boba niemal nie potrafił się zmusić, by ruszyć dalej.

Czwartą kuchnię za to opuścił bez problemu. Tak naprawdę nie była to kuchnia ale miejsce do rozmnażania się dla białych robaków... milionów takowych. Wierciły i przeciskały się w długich otwartych rowach. Droid zgarnął wiadro oślizgłych robaków i umieścił je na przesuwałcej się taśmie.

- Fuj! - powiedział Boba. Nigdy nie będzie aż tak głodny!

W piątej kuchni znajdowały się tylko warzywa i owoce. Wiele z nich wciąż było żywych i się poruszało.

Szósta kuchnia skupiała się na mięsie. Boba zajrzał przez drzwi. Caridański kucharz wycelował w niego dużym nożem.

- Tak! - Karaluchowaty obcy oznajmił z ekscytacją - Nasze danie główne w końcu przybyło.

- Zła kuchnia - Boba krzyknął pośpiesznie.

Pobiegł z powrotem do korytarza. Z odległego końca usłyszał krzyki. Usłyszał też głęboki głos, który rozpoznał jako należący do Durge'a. Usłyszał głośnie odgłosy wybuchów wydawane przez blaster.

Usłyszał kroki i gniewny okrzyk. Byli blisko.

Tuż przed Bobą znajdowały się ostatnie drzwi. Wryte były na nich huttyjskie litery i cyfry.

- Lepiej, żeby to była kuchnia numer siedem - powiedział Boba ponuro.

Pchnął drzwi, otwierając je. Kilkoro mężczyzn i kobiet w tatooińskich ubraniach stało przy długim stole. Znajdowały się na nim dziwne obiekty. Wyglądały jak jasnokolorowe zabawki, ale może to była broń? Boba nie mógł stwierdzić.

Ale cokolwiek to było, pachniało dobrze. Nie. Pachniało wspaniale.

- Możemy ci jakoś pomóc? - zapytała kobieta.

Boba stał bez ruchu. Przez chwilę był oszołomiony. Oddychał ciepłym cukrem, czekoladą, miętą. Pomyślał, że może zemdleć z głodu.

- Młodzieńcze!

Boba zamrugał. Przed nim stał Gab'borah. Stary mężczyzna miał na sobie jasnozielony fartuch kucharski i czapkę. W jednej ręce trzymał dużą łyżkę. W drugiej zaś poruszającą się okołodygę, której okrągłe niebieskie oko gapiło się na Bobę.

- Dodaję ostatnie szczegóły do dzisiejszego deseru - wyjaśnił Gab'borah. Odwrócił się dziarsko i podszedł do stołu. Zgiął okołodygę i umieścił pośrodku jednego z jasnych obiektów. Boba mógł teraz dostrzec, że nie była to ani zabawka, ani broń. To było ciasto.

- Gotowe! - powiedział Gad'borah dumnie. Następnie rozpromienił się, patrząc na Bobę - Cieszę się, że przybyłeś mnie odwiedzić!

Z korytarza dobiegł niespodziewany okrzyk. Boba się obrócił, szarpnął za drzwi, zamykając je.

- Potrzebuję twojej pomocy! - wydyszał - Teraz!

Starszy mężczyzna przyjrzał się mu. Chwilę później przytaknął.

- Ruszajcie się! - polecił, przeganiając innych kucharzy. Następnie ponownie spojrzał na Bobę.

- Co jest? - zapytał ściszym głosem.

Zza zamkniętych drzwi dobiegł kolejny ryk. Gab'borah uniósł w zrozumieniu brew.

- Ah, teraz rozumiem - powiedział - To Durge. Jabba spuścił go, by cię dorwał.

- Fakt - potwierdził Boba. Rozejrzał się w desperacji - Gab'borah, muszę się stąd szybko wydostać. Nie tylko z pomieszczenia, ale z całej fortecy.

Gab'borah zmarszczył brwi. Spojrzał wraz z Bobą na drzwi. Trzęsły się. Za moment Durge się przez nie przebije.

- Za mną - wyszeptał starszy mężczyzna. Przeszedł przez pokój, Boba deptał mu po piętach - Tutaj...

Gab'borah otworzył drzwi. Wewnątrz znajdował się schowek i kolejne drzwi. Schowek wypełniony był różnym złomem.

- Teraz, wiem, że to gdzieś tutaj było... - wyszeptał Gab'borah.

Mężczyzna przegrzebał wszystko, szukając. Stare przyrządy kuchenne, garnki, patelnie, zużyte części kuchenki, sztućce...

I wiszący za drzwiami plecak odrzutowy.

-Tutaj jest! - powiedział Gab'borah, chwytając plecak i podając go Bobie - Widzisz, ja też zawsze myślę o ucieczce!

Boba przyjrzał się plecakowi. Był to stary model, zaprojektowany dla dorosłego. Zajrzał do kanistrów z paliwem.

- Wciąż są pełne - oznajmił. Spojrzał z wdzięcznością na Gab'boraha i się uśmiechnął - Dziękuję, to wspaniale!

- Przyjemność po mojej stronie - odparł starszy mężczyzna, kłaniając się. Obserwował jak Boba dopasowuje mocowania. Następnie Boba zarzucił plecak na plecy. Z korytarza dobiegł ogłuszający wybuch.

- Mandaloriański karzełek! - wyrzyczał. Boba obrócił się w samą porę by zobaczyć, jak Durge przedziera się przez drzwi kuchenne.

- Ruszaj! - krzyknął Gab'borah, otwierając pchnięciem drzwi w składziku, przez które następnie przepchnął Bobę - Szybko!

- Hej! - wykrzyknął Boba.

Znajdował się na wąskim występie, setki metrów nad powierzchnią gruntu. Wokół niego znajdował się ogrom fortecy Jabby. Powyżej, dwa pałace i piekące pomarańczowe słońca. Ciepło spływało w dół niczym toksyczny deszcz.

Poniżej, tak daleko, że można by uznać to za miraż, rozciągało się Morze Wydm.

- Z drogi, starcze! - krzyknął Durge.

- Ruszaj! - krzyknął Gab'borah w chwili, gdy ogromny łowca nagród odepchnął go na bok.

Boba spojrzał za siebie. Nie potrzebował dodatkowej zachęty. Zaledwie kilka metrów za nim stał zabójczy łowca nagród z blasterem wycelowanym dokładnie w niego.

- Teraz, mam Cię dokładnie tam, gdzie chciałem - zaszydził Durge - Gotowy na śmierć?

- Nie tym razem! - krzyknął Boba. Założył swój hełm i aktywował silniki plecaka. Buchnął za nim ogień i poczuł, jak ciepło ogrzewa tył jego nóg.

Ale Boba nie miał czasu, żeby o tym pomyśleć. Nie miał czasu, żeby pomyśleć o czymkolwiek.

-Wooooohooo! - wykrzyknął.

Poniżej niego przelatywał świat.

Leciał!

Rozdział 22

Oczywiście, Boba latał już wcześniej. Latał w aerośmigaczach i śmigach. Latał też wewnątrz swego superszybkiego statku, *Slave'a I*.

Ale nie mogło się to równać z tym, co robił teraz.

- Wow, to świetne! - krzyknął, robiąc salto w powietrzu. Pałac Jabby był już tak mały ze wyglądał jak jedno z ciast Gab'boraha. Gdy Boba spojrzął za siebie, dostrzegł Durge'a. Łowca stał w przejściu prowadzącym na otwartą przestrzeń. Był lśniąca plamką nie większą od insekta! Był nawet mniejszy.

A zaraz nie było go w ogóle.

Boba patrzył, jak cytadela znika, wtapiając się w horyzont. Zrobił jeszcze kilka salt, nurkując i opadając tak jak *Slave I* robił to w przestrzeni, tak jak widział, jak robił to jego ojciec. Ćwiczył sterowanie plecakiem raketowym, pamiętając ruchy swego ojca, robiąc to tak jak on. Wyłączył w końcu silniki i przeszedł w swobodny upadek.

Podłoże ruszyło ku niemu na spotkanie, czerwone, złote, czarne. W ostatniej sekundzie Boba aktywował ponownie plecak. Ogniwa zaryczały i strzeliły ogniem. Wszedł z lotu nurkowego, wznosząc się poprzez połyskujące powietrze. Zrobił jeszcze kilka obrotów, jedynie dla zabawy. Następnie poprawił swój hełm i włączył program nawigacyjny.

- Mos Espa - poleciał. Wewnątrz hełmu czerwone światełka zmieniły się w zielone. Potok kodów kierunkowych błysnął przed oczami Boby. Następnie pojawiła się wirtualna mapa. Zamrugał.

To za daleko, pomyślał skonsternowany. Barką żaglową można by się tam dostać w ciągu dnia, ale plecakiem raketowym? Nie ma szans.

Co teraz?

Boba zawisł w powietrzu, rozglądając się. Dużo poniżej i za sobą mógł dostrzec pałac Jabby.

Wylatywał z niego nieprzerwany strumień małych jasnych obiektów: śmigacze i barki żaglowe wykonujące rozkazy Jabby.

Śmigaczem mógłbym błyskawicznie dostać się, gdzie chciałem, pomyślał ponuro Boba. Nie było opcji, by zdołał teraz ukraść jakiś, nie dając się złapać.

Ale barka żaglowa...

Pomyślał o barce, która przywiozła go tutaj. Było na niej tłoczno i panowała spora dezorganizacja, nawet gdy Jabba był na pokładzie.

Ale Jabba był teraz w pałacu, podobnie Bib Fortuna. Nikt nie będzie sprawdzał Berek tak dokładnie, jak robili to wcześniej.

Boba szybko zanurkował w dół. Dostosował prędkość plecaka raketowego, żeby zaoszczędzić paliwo. Będzie go potrzebował później, gdy znajdzie się bliżej Mos Espy. Podleciał tak blisko bramy jak mógł, mrużąc oczy.

Tutaj!

Jeden skiff transportowy przygotowywał się właśnie do wylotu przez bramę. Jego masywny górny pokład wypełniony był pojemnikami i pustymi klatkami. Boba mógł dostrzec na pokładzie kilka droidów dokonujących ostatnich inspekcji ładunku pojazdu. Gdyby tylko udało mu się pozostać niezauważonym...

Skulił się, po cichu podchodząc do skiffa od boku. W ciemności otwartej bramy stało kilku strażników. Rozmawiali i śmiali się, zamiast wykonywać swoją pracę.

To dobrze! pomyślał Boba. Pokierował plecakiem raketowym tak, by zawisnąć w powietrzu kilka metrów nad pokładem. Znajdowały się tam spore stosy skrzynek zabezpieczonych siatką. Między jednym a drugim stosem znajdowała się szczelina. Za mała dla człowieka czy gamorreńskiego strażnika, ale wystarczająca, ledwie, dla Boby. Rozejrzył się, by upewnić się, że strażnicy wciąż skupiają uwagę nie na tym co trzeba.

Tak było. Boba wziął głęboki oddech i zmniejszył dopływ energii do plecaka, aż znalazł się bezpośrednio nad pokładem. Wyłączył urządzenie i wylądował, z bijącym sercem skacząc pomiędzy stosy.

Był bezpieczny!

Narazie.

Skiff leciał całymi godzinami. Boba niewiele widział z miejsca, w którym się ukrył, więc wykorzystał ten czas na odpoczynek. Po chwili kołysanie skiffa sprawiło, że zasnął. Gdy w końcu się obudził, oba słońca Tatooine zdążyły już przewędrować poprzez niebo. Było późno.

Zastanawiam się, gdzie jesteśmy? pomyślał Boba. Wyrzwał ze swej kryjówki, ale zobaczył tylko niekończące się wydmy. Ponad nim niebo błyszczało z gorąca. Wrócił z powrotem do swej kryjówki, ponownie uruchamiając program nawigacyjny w hełmie.

- Potrzebuję koordynatów Mos Espy - wyszeptał - Mam nadzieję, że to niedaleko.

Nie było. Sprawdził poziom paliwa: było go akurat wystarczająco, by tam dolecieć. Wystawił głowę z kryjówki i rozejrzył się.

Nigdzie nie było śladu droidów strażniczych ani nikogo innego.

Serce Boby zabiło w podnieceniu. Teraz albo nigdy!

Wyleciał w górę, wyżej i wyżej. Plecak raketowy wysłał go wysoko w niebo. Pod nim skiff zmniejszył się, stając się kropką pośród oceanu piasku. Daleko, daleko za nim znajdował się pałac Jabby. A gdzieś przed Bobą czekała Mos Espa oraz przyszłość Boby.

Boba leciał dalej.

Pod nim szybko przelatywało morze wydm. Widział farmy wilgoci i metalowy wrak dużego spoczywającego w piasku frachtowca. Widział małe placówki, w których farmerzy wilgoci kupowali zapasy i wymieniali wodę na jedzenie.

W końcu ujrzał setki metrów pod sobą coś drgającego niczym galareta. Sarlacc polował pod piaskiem.

Zobaczył także maleńką czarną kropkę na tle nieba. Znajdowała się wiele kilometrów za nim.

Ale się zbliżała.

To był Durge. Polujący na Bobę.

- Zobaczymy, czy dam radę go zgubić - powiedział Boba. Przed sobą dostrzegł długą, nierówną linię w piachu. Kanion.

Pokierował plecakiem raketowym tak, by wlecieć do kanionu. Był długi na jakieś dziesięć czy dwanaście kilometrów i było w nim chłodniej niż w powietrzu ponad nim.

Boba dotarł do niego, zygzakiem przelatując przez kanion. Podniósł hełm i pozwolił, by zimne powietrze dotknęło jego policzków.

Wtedy zobaczył zbliżający się koniec kanionu. Wzleciał w górę, z powrotem ku ciepłemu suchemu powietrzu. Spojrzył za siebie.

Nigdzie nie było śladu Durge'a.

Zgubił go.
Spojrzał przed siebie.
Jej!
Tam, bardzo blisko, widać było Mos Espę!
Oraz unoszący się tylko kilka metrów od Boby ścigacz Durge'a!
- Mam Cię! - krzyknął Durge. Staął, przygotowując miotacz ognia. Wycelował. Ścigacz lekko zakołysał się, gdy łowca starał się złapać równowagę.
- Jeszcze zobaczymy - odparł Boba. Potajemnie sięgnął w dół do zapłonu plecaka.
Patrzył odważnie na opancerzonego łowcę nagród.
- Trzy - odliczał Boba do samego siebie. Patrzył jak Durge bierze go na cel. Czekał do ostatniej sekundy - Dwa... jeden...
Z miotacza ognia wystrzeliła struga ognia. W tym samym momencie ogień przestał strzelać z plecaka raketowego. Boba opadł w dół jak kamień.
W miejscu, gdzie znajdowała się jeszcze chwile wcześniej jego głowa, pojawiła się kula ognia.
Boba ponownie przełączył plecak na pełną moc. Zrobił salto w powietrzu, zrównując się z powierzchnią niżej. Z rykiem plecak wyrzucił go do przodu, pod śmigaczem Durge'a.
- Ty...!
Durge zawył z wściekłości. Kolejna porcja płomieni z miotacza wybuchła niegroźnie za Bobą, po chwili jeszcze kolejna. Śmigacz zadrżał, gdy łowca skoczył z powrotem ku sterowaniu. Pojazd obrócił się, by ścigać Bobe.
- Mogę go wymanewrować - powiedział głośno Boba. Nie był pewien czy to prawda. Ale poczuł się lepiej, mówiąc to. - Mogę to zrobić...
Spojrzał w górę. Dwa słońca Tatooine świeciły mgliście. Boba ustawił się tak, by słońca były bezpośrednio przed nim. Jeśli zrobi to dobrze, ich blask na moment oślepi Durge'a.
A tylko chwilki potrzebował Boba, żeby uciec!
Skierował się do miejsca, gdzie bazar był najbardziej zaludniony, sprzedawcy, krzycząc, zachwalali swe wyroby i setki istot się targowały.
- Jeśli tam dolecę, mogę go zgubić - powiedział Boba - Wtedy będę mógł znaleźć Ygabbę...
Boba się obejrzał. Faktycznie, ścigacz Durge'a zwolnił. Boba mógł zobaczyć odbijające się od pancerza łowcy światło słoneczne.
Boba spojrzał przed siebie. Nie było możliwości, by pojazd Durge'a manewrował poprzez powolny tłum kupujących.
- To jest to! - wymruczał.
Odciał dopływ energii w plecaku. Zdawało się, że pozbył się żołądka, gdy opadł o czterdzieści metrów. Niemal natychmiast z powrotem uruchomił zasilanie i poleciał wprost przed siebie, tuż nad głowami zdezorientowanych istot. Spojrzał za siebie.
Durge'a nie było w zasięgu wzroku. Boba go zgubił!
Odwrócił się radośnie, ustawiając plecak na pełną moc.
Przed nim znajdowało się miejsce, gdzie odnajdzie Gilramosa Libkatha.
Przed nim czekał triumf... albo śmierć.

Rozdział 23

Boba wiedział, że jeśli będzie leciał, będzie łatwiejszy do zauważenia.
- Powinienem dostać się tam. - powiedział, wpatrując się w labirynt alejek i uliczek pod sobą. - Chociaż na chwilę ukryję się przed Durge'em.
Ale nie miał nawet tej chwili. Nie miał czasu na nic.

I nie wiedział dokładnie, gdzie była kryjówka Gilramosa Libkatha.
Zmarszczył brwi. Powoli okrążył kantyny i doki. W oddali dostrzegł poobijany zarządcę zakładu Mentisa Qinxę.

- Wkrótce się tam pojawię. - powiedział.

Spojrzał jeszcze raz. Nie tak daleko wznosił się ogromny budynek. Prawie dotykał nieba. Arena...

Kryjówka Gilramosa była blisko Areny!

Skręcił i opadł, tak że teraz leciał tylko kilka metrów nad ziemią. Kilku kupców spojrzało na niego, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Z drogi! - krzyknął na nich.

Główna droga nagle się skończyła. Boba wzniósł się, przelatując nad wysokim murem. Przed nim pojawiło się więcej alei. Widział sprzedawców wody i banthę czekającą cierpliwie przed drzwiami kantyny.

Ale nie widział, dokąd wcześniej zabrała go Ygabba.

Uniósł się jeszcze kilka metrów wyżej. Spojrzał w dół.

I zobaczył.

Pod nim był znajomy wrak krążownika. Martwa roślinność przyczepiła się do jego boków. Przykrywało go popękane szkło, złom i śmieci.

Dla zwykłego obserwatora był to kolejny wrak jakiegoś statku.

Dla Boby był to pierwszy krok ku wolności.

Zmniejszył dopływ mocy, próbując spowolnić lądowanie. Mimo to lądowanie nie należało do łagodnych.

- Uff...

Dotknął ściany, próbując utrzymać równowagę. Wyłączył swój plecak rakietowy i poklepał go.

- Naprawdę się przydałeś - powiedział - Przypomnij mi, że jestem coś winien za to Gab'borahowi.

Zdjął hełm i otarł pot z twarzy. Był brudny, gorący i zmęczony.

Był również bardzo, bardzo szczęśliwy. Spojrzał w górę i w dół alei, by się upewnić, że nikt go nie widział. Spojrzał w górę.

Nie było śladu Durge'a.

Na razie.

Zawrócił. W stronę drzwi, przez które ścigał Ygabbę. Wziął głęboki oddech. W końcu otworzył je i wszedł do środka.

Ciemność okryła go jak płaszcz. Ciemność i chłodne powietrze. Postukał w hełm, aktywując widzenie w podczerwieni. Natychmiast to dostrzegł.

Przed nim ciągnął się długi tunel. Feerie szkarłatnego światła oświetlały najczarniejsze cienie, jakie kiedykolwiek widział. Ruszył ostrożnie do przodu. Podłoga usłana była gruzem, popękkanymi cegłami, pustymi pojemnikami na wodę i resztkami pożywienia. Zatrzymał się i trącił coś nogą. Schylił się, by to podnieść.

Była to etykieta. Wizerunek tłustej twarzy hutta wymalowany był nad hasłem.

PRAWDZIWIE CZYSTA WODA ZE ŹRÓDEŁ GORGAL.

Najlepsza w Bestine.

Ygabba mówiła, że przesyłka broni została ukryta... W przesyłce z farmie wilgoci najbliższej Bestine.

To wydawało się tak dawno temu, ale on spotkał Ygabbę nie wcześniej jak wczoraj. To wtedy ona i inne dzieci ukradły broń. Ledwo zdążyli ją tu przynieść.

Gilramos nie miał więc czasu na przejęcie skradzionego towaru.

"On tu jest" - pomyślał Boba. - "Teraz to czuję."

Po jego szyi przeszły ciarki. Ruszył bardzo powoli przez czerwone, oświetlone pomieszczenie. Zatrzymał się, kiedy dotarł do wejścia do tunelu.

Nasłuchiwał.

Usłyszał dwa głosy. Jeden był niespokojny i błagalny, drugi niski i pełen przebiegłości. Ten głos Boba skądś już znał.

To był Gilramos Libkath.

Rozdział 24

Tak cicho, jak tylko mógł, Boba wszedł przez przejście. W miarę jak się poruszał, głosy stawały się coraz głośniejsze, aż mógł je zrozumieć.

- Mistrzu, zdobyliśmy, ile mogliśmy. Wtedy strażę go zobaczyły. Nie miałam innego wyboru, jak przerwać.

Głos należał do Ygabby. Brzmiała desperacko... i wyczuwało się strach.

- To nie wystarczy - ktoś syknął. Gilramos, Neimoidianin, którego dzieci nazywały Mistrzem - Są pewne ważne istoty czekające na te nielegalne uzbrojenie... nie da się go kupić w inny sposób niż na czarnym rynku i kupcy oczekują ode mnie, że zrealizuje zamówienie. Wiecie, co się dzieje, gdy zawodzicie.

Rozległ się ostry krzyk. Nie był to głos Ygabby ale małego chłopaka, Murzza.

- Nie krzywdź mnie - pisnął.

Żołądek Boby się skurczył. Przed nim znajdowała się jasna ścieżka, wejście do głównego pomieszczenia. Wyłączył systemy widzenia w podczerwieni, by lepiej widzieć. Skradał się do przodu.

- Znacie porozumienie, jakie zawarliśmy - Gilramos zaczął mówić swym gładkim, chorowitym głosem.

Boba dotarł do wejścia. Ostrożnie kucnął w cieniu i zajrzał do środka.

Pośrodku pomieszczenia stał wysoki Neimoidianin. Jego wyszukane szaty jarzyły się fioletem i głębokim niebieskim. Jego gadzią twarz wykrzywiało ziewnięcie. U jego stóp leżała mała istota, Murzz. Ygabba stała ochronnie obok niego.

- Proszę, mistrzu - błagała.

Boba zmrużył oczy. Czy to był kolejny wirtualny obraz Gilramosa Libkatha? Czy to był naprawdę on. Neimoidianin schylił się do przodu i chwycił Murzza za ramię. Chłopak krzyknął ze strachu i bólu.

Boba zacisnął pięści ze złości. To naprawdę był Gilramos. Szponiasta ręka Neimoidianina zacisnęła się mocniej. Drugą ręką wykonywał groźne gesty.

- Zawiodłeś mnie! Miało być tutaj siedemnaście kartonów broni! A ile widzę? Szesnaście!

Boba wychylił się do przodu, by mieć lepszy widok. W pomieszczeniu znajdowało się wiele pojemników, każdy z nich miał jasną naklejkę: PRAWDZIWIE CZYSTA WODA ZE ŹRÓDEŁ GORGAL. Ale niektóre z nich były otwarte. I nie zawierały wody. Były wypełnione bronią. Małe pociski wykonane przy użyciu zakazanej przez republikę technologii. Dość, by uzbroić armię. I to nie armię dzieci. Kątem oka Boba dostrzegł kilka droidów bojowych, których pancerze lśniły w cieniu.

Boba podskoczył, gdy niespodziewanie Gilramos powiedział podniesionym głosem - Kim jestem, dzieci? - zażądał odpowiedzi.

W pokoju, stało wokół niego kilka małych postaci. Każda z nich podniosła rękę. W każdej dłoni jarzyło się oko.

- Jesteś naszym Mistrzem, Libkath - powiedziały dzieci jednym głosem.

Gilramos przytaknął - Tak jest. Kto o was dba, dzieci?

- Ty, Mistrzu.

Oczy rozjarzyły się jaśniej. W ciemności droidy bojowe się poruszyły, podnosząc bezlitośnie swe ramiona. Niektóre z dzieci pisnęły, Murzz w złości kopnął Gilramosa.

- Wypuść mnie! - krzyknął.

Gilramos tylko ścisnął go mocniej.

- Kto zapewnia wam schronienie? - zapytał.

- Ty, mistrzu - odpowiedziały dzieci.

- Tak jest - gadzi uśmiezek zmienił się w grymas. Gilramos sięgnął do Ygabby i chwycił się za ramię - A czego oczekuję w zamian?

- Posłuszeństwa, mistrzu.

- A jeśli go nie otrzymuję?

Boba szybko rozejrzał się wokół. Blisko wejścia leżała kupka cegieł. Podniósł jedną.

- Odpowiadajcie - krzyknął Gilramos, gniewnie potrząsając Ygabba - Co, jeśli nie jesteście posłuszni?

Boba podkradł się do wejścia. Wycelował. Rzucił.

Trafił w samą dziesiątkę!

Z pomrukiem Gilramos zatoczył się do tyłu. Jego wysoka czapka zachwiała się i spadła. Chwycił się za głowę. Ygabba natychmiast chwyciła Murrza i odskoczyła. Wszystkie dzieci w pokoju uniosły swe dłonie. Lśniące oczy świeciły jasno a następnie zamigotały. Droidy bojowe ze złowieszczym warkotem zajęły pozycje.

- Kto śmie mnie atakować? - krzyknął Gilramos.

- Czemu nie wybierzesz kogoś bliższego ci rozmiarem? - odkrzyknął Boba, biorąc kolejną cegłę i rzucając.

Trach!

Tym razem Gilramos potknął się i niemal upadł. Z podekscytowanymi piskami dzieci uciekły z dala od niego. Przycisnęły się do ścian, szukając schronienia na półkach otaczających pokój. Tylko Ygabba została tam, gdzie była, patrząc jak Boba wkracza do pomieszczenia.

- Boba Fett! - krzyknęła, uśmiechając się tak szeroko że na chwilę zapomniała o Gilramosie i droidach.

- Tak, to ja - krzyknął Boba w odpowiedzi.

- Fett? - powtórzył Gilramos. Wstał, struzka jasnożółtej cieczy spływała mu po twarzy - Śmiesz mnie atakować?

- Owszem! - odparł Boba, unosząc ręce i ukazując dłonie - Nie kontrolujesz mnie!

- Ale będę!

Gilramos uniósł rękę, z której strzelił bolt szkarłatnej energii. Czy to była jakaś nietypowa umiejętność, czy sztuczka? Boba nie miał zamiaru się o tym przekonywać. Kucnął i uruchomił swój plecak odrzutowy. Poleciał przed siebie, kopiąc Neimoidianina w głowę.

- Argh! - krzyknął Gilramos. Droidy bojowe zastygły w oczekiwaniu rozkazów.

Gdybym tylko mógł zabrać jedną z tych broni, mógłbym rozwalić jego i te droidy! pomyślał Boba i pochylił się w kierunku otwartej skrzyni. Wtedy będzie mógł odebrać nagrodę od Jabby!

Skrzynia była tuż przed nim. Boba wyciągnął ku niej ramię, jego palce już dotykały uchwytu blastera.

Wham!

Fioletowe światło uderzyło Bobę w oczy. Krzyknął i wystrzelił w górę. Jego głowa z hukiem w coś uderzyła.

Sufit!

Z krzykiem, spadł w dół.

Rozdział 25

Na sekundę wszystko stało się czarne. Wtedy Boba zamrugał i spojrzał w górę. Nad sobą zobaczył jaszczurzą twarz uśmiechającą się chytrze pod ozdobną czapkę.

- Co my tu mamy? - zapytał Gilramos, oblizując wąskie wargi - Silny i sprytny chłopak. Taki, który będzie stanowić miły dodatek do mej armii. Oczywiście po pewnych modyfikacjach.

Chwycił on rękę Boby, który próbował się wyrwać, ale Neimoidianin okazał się zaskakująco silny.

- To zajmie tylko chwilę - powiedział Gilramos. Za nim droidy ustawiły się w formacji, celując swą bronią w Bobę - A wtedy...

- Mandalorianin jest mój - zagrzmiął głos. Gilramos się odwrócił, tak samo jak Boba.

- Durge - wyszeptał.

Postać opancerzonego łowcy nagród wypełniała całe wejście. W każdej z masywnych dłoni trzymał blaster. Jeden był wycelowany w głowę Gilramosa. Drugi w Bobę.

- Jeden ruch i zostanie z was pył pośród morza wydm - triumfował Durge.

Boba kopnął Gilramosa. Durge wycelował w niego.

- Wątpisz we mnie, karzełku? - oczy Durge'a płonęły.

Wszedł do pomieszczenia. Boba usłyszał świst wciąganego przez dzieci powietrza. Droidy bojowe obróciły się, ich broń przestała celować w Bobę a zaczęła w Durge'a. Uniósł on głowę i się rozejrzał. I uśmiechnął. Szerokim, przerażającym uśmiechem.

- A więc to twoja armia, Gilramosie? - Spojrzał z pogardą na droidy a następnie podszedł i szturchnął małą dziewczynę blasterem - Kradnące dzieci i grupka droidów?

Boba obserwował go. Gdybym tylko miał broń, pomyślał. Mógłbym nas wszystkich uwolnić. Ale czy mógł ją zdobyć? Spojrzał za trzymającego się blisko niego Gilramosa. Wszędzie były pojemniki z bronią. Jeden zbłąkany strzał i całe to miejsce stanie się bronią.

Poczekaj minutkę, pomyślał Boba. Kątem oka zauważył, jak ktoś się przemieszcza. Ani droid, ani Gilramos.

Ygabba, Stała blisko stosu pojemników Obróciła się i spojrzała zdesperowana na Bobę. W jednej chwili zrozumiał on, co robić.

- Ygabba! - krzyknął - Wyprowadź ich stąd! Biegnij... TERAZ!

W tej samej chwili, w której krzyknął, rozpląszczył się na podłogę. Durge obrócił się z krzykiem. Z jego blastera wystrzelił bolt energii. Boba kopnął Gilramosa, który krzyknął i spróbował go złapać. Roboty ruszyły do przodu.

Za późno! Boba był wolny.

Leżał na ziemi, ponad nim strzał Durge'a trafił Gilramosa, który upadł. Inny strzał trafił z cichym wybuchem jednego z droidów, inne zaczęły strzelać do Durge'a.

- Tędy! - krzyczała Ygabba - Szybko!

Dzieci rozproszyły się niczym stado ptaków. Ygabba stała przy wyjściu i krzyczała na nich. Dzieci biegly wszędzie, nurkując poprzez dziury w ścianach, wspinając się do szczelin w sklepieniu. Wszędzie lśniły i mrugały gorejące oczy gdy dzieci wpadały na siebie, szukając schronienia.

Wszystkie poza Bobą.

- Teraz Ty! - krzyknął Durge i kolejny strzał z jego blastera rozbił znajdującego się przed nim droida. Maszyna upadła a Durge się zaśmiał - Ty następny - krzyknął i wycelował w Bobę.

Boba się rozejrzał. Zobaczył czołgającego się po podłodze Gilramosa, obok niego leżała jego czapka. Neimoidianie przywiązywali sporą wagę do swych czapek. Boba to wiedział. Reprezentowały ich władzę i prestiż. Żaden nie pokazałby się bez swojej. Chyba że byłby martwy.

Boba chwycił czapkę. Gilramos krzyknął zrozpaczony - Nie!
Boba się odwrócił. W pokoju rozbrzmiał kolejny głos - Boba!
Spojrzał w górę. Wszystkie dzieci znikły, za wyjątkiem Ygabby. Stała w otwartym przejściu, machając do niego. Obok niej znajdowała się kupka broni.

- Tędy! - krzyknęła.

Boba chwycił i przycisnął do siebie kapelusz Gilramosa. Spojrzał w dół na otoczonego pozostałymi droidami bojowymi Durge'a. Sięgnął do przycisku uruchamiającego plecak rakietowy. Wcisnął go tak mocno jak mógł.

I poleciał.

- Umrzesz! - ryknął Durge. Odwrócił się, zapominając o robotach. Wycelował w Bobę. Boba przeleciał ponad nim, następnie obniżył lot, wyciągając jedną rękę po Ygabbę.

- Trzymaj się! - krzyknął.

Chwyciła go za rękę. Przed nimi znajdowało się wyjście z pieczary, za nimi był Durge i droidy Neimoidianina.

- Trzymaj mocno! - krzyknął Boba.

Poleciał ku kupce broni. W ostatniej możliwej chwili skręcił, kierując się od tunelu.

- Moja czapka! - pisnął Gilramos - Droidy, zatrzymajcie go!

- Co powiesz na to - zagrmiał Durge i wystrzelił. Tym razem strzał rykoszetem trafił w jeden z pojemników.

Świat natychmiast eksplodował. Ygabba krzyknęła, ale wciąż się trzymała. Boba trzymał głowę nisko, lecąc ku wolności. Za nimi eksplozje wstrząsnęły wybebeszonym Theedańskim krążownikiem.

- Jesteś cała? - zapytał Boba, przekrzykując hałas.

- A jak sądzisz? - odkrzyknęła Ygabba.

- To dobrze, bo jesteśmy prawie na zewnątrz - Przed nimi jaśniało światło. Za nimi eksplozje były coraz cichsze, niczym odległa burza. Chwile później ponownie byli na zewnątrz. Byli wolni.

Rozdział 26

- To było niezłe wejście! - powiedziała Ygabba.

Boba przytaknął, sięgając do zapłonu plecaka. Wylądowali.

- Taa, powiedział, szczerząc się - I wyjście też - Biegli aż znaleźli się w bezpiecznej odległości od alejki.

- Nie martw się - powiedziała Ygabba, spoglądając do tyłu - Te Theedańskie statki budowane są, by przetrwać w hiperprzestrzeni. Wszystko wewnątrz mogło zostać zniszczone, ale na zewnątrz nic się nie stanie.

Boba kiwnął. Dalej stała grupka małych postaci, obserwując ich.

- Ygabba! - ktoś krzyknął - Udało ci się!

Ygabba pobiegła do nich, rozpromieniona. Najmłodsze z dzieci wybiegło jej naprzeciw, by ją przytulić - Oczywiście, że udało, z małą pomocą przyjaciela!

Spojrzała na Bobę. Ten przesunął swój hełm i spojrzał na wciąż trzymaną przez siebie czapkę Gilramosa. Spojrzał do tyłu i zmarszczył brwi.

- Nie wiem czy już po nim, czy nie - powiedział.

Ygabba podeszła do niego i także spojrzała do tyłu - Masz rację - powiedziała - Nie sądzę, by ktokolwiek mógł to przerwać, ale...

- Ygabba, spójrz!

Ygabba i Boba się odwrócili.

Wokół nich stojące w kółeczku dzieci unosiły swe ręce, ukazując dłonie. Świeące oczy patrzyły na Bobę, nie mrugając.

Następnie, niczym woda wsiąkająca w suchy piasek, oczy rozmyły się w ich skórze.

- Znikły! - wydyszał Murzz.

- Tak! - powiedział Boba, unosząc triumfalnie pięść. Podniósł także czapkę Gilramosa, dzieci wiwatowały.

- A co z Durge'em? - zapytała Ygabba.

Twarz Boby się zachmurzyła.

- Dobre pytanie - powiedział. Spojrzał w alejkę, dym skradał się przy ziemi - Możliwe, że zginął, ale nie zakładałbym się o to.

W zamyśleniu aktywował plecak. Spojrzał na pojemniki z paliwem.

- Są niemal puste - powiedział, ustawiając hełm bardziej z tyłu i spojrzał na Ygabbe - Co teraz? Jak mogę wrócić do fortecy Jabby? Nie mogę zapłacić za remont mojego statku, nim Jabba nie zapłaci mi.

Ygabba spojrzała na niego i się uśmiechnęła - Poczekaj minutę - powiedziała.

Odwróciła się i przywołała do siebie wszystkie dzieci - Wszyscy, słuchajcie. Wiecie, gdzie jest kantyna Bley-san?

Dzieci przytaknęły.

- Świetnie - powiedziała i uśmiechnęła się do nich wspierająco - Chcę, byście się tam udali. Zapytajcie o Bley-sanę. Jest mi winna przysługę. Powiedzcie jej, że was wysłałam. Pomoże wam odnaleźć waszych rodziców albo krewnych. Pomoże wam wrócić do domów.

Ygabba się wyprostowała - Blue'san to dobra kobieta - powiedziała - Możecie jej ufać. Teraz ruszajcie, i pamiętajcie, jesteście wolni!

Śmiejąc się, z radością dzieci zebrały się wokół Ygabby. Tulili ją i żegnały się.

- Czekajcie chwilę! - powiedziała Ygabba. Uniosła dłoń i odwróciła się. Spojrzała na Bobę, następnie na dzieci i zapytała - Czy wszyscy o czymś nie zapominacie?

Dzieci odwróciły się i spojrzały na Bobę. Uniosły swe ręce, z pustyni dłońmi jeśli nie liczyć brudu i sadzy. Uśmiechnęły się.

- Dziękujemy Ci, Bobo Fecie - krzyknęły, a następnie chichocząc, odwrócili się i pobiegli do kantyny Bley-san.

Boba patrzył jak odchodzą. Czuł coś, czego nie czuł jeszcze nigdy.

Radość. Ale i dumę.

- Cóż - powiedział, gdy dzieci zniknęły z pola widzenia - Lepiej, żebyśmy też ruszali.

Ygabba uniosła do niego kciuk.

- Chodź - powiedziała, idąc szybko w dół alei. Boba podążał za nią. Gdy minęli róg, zatrzymała się.

- Zobacz to - powiedziała.

Przed nimi lewitował elegancki pojazd.

- Wow - wydyszał Boba - Jest piękny. Do kogo należy?

- Do mnie - odparła Ygabba. Gdy Boba posłał jej zaskoczone spojrzenie, wzruszyła ramionami - Cóż, należał do mistrza Libkatha. Ale uważam, że był mi coś winien.

Boba się nie spierał. Patrzył, jak Ygabba podchodzi do maszyny i wpisuje kod dostępowy. Góra pojazdu natychmiast się otworzyła. Ygabba wskoczyła do środka i pogoniła Bobę, by do niej dołączył. Następnie owiewka się zamknęła i pojazd zaczął się wznosić. Boba obniżył swój hełm i położył czapkę Gilramosa na nogach.

- Wiesz jak tym latać? - zapytała Ygabba.

Boba się uśmiechnął i przejął stery. Pojazd wznosił się w powietrze.

- Kolejny przystanek, forteca Jabby! - krzyknął.

Rozdział 27

Gdy w końcu dotarli do pałacu Jabby, zapadła już noc. Zadokowali pojazdem i udali się ku głównemu wejściu.

Uzbrojeni strażnicy bronili ogromnych metalowych drzwi. Ale gdy Boba pokazał czapkę Gilramosa, byli pod wrażeniem.

- Możesz przejść - powiedział strażnik, patrząc na Bobę, po czym uniósł kciuk - Ale ona nie.

- Ona jest ze mną - warknął Boba - Chcesz omówić tą kwestię z Jabbą?

Strażnik pogderał, ale ich wpuścił.

- Zdajesz się być tu znany - powiedziała Ygabba, patrząc na Bobę z podziwem.

- Ta, trochę tu bywałem - odparł.

Dotarli do sali tronowej Jabby. Powitały ich radosne odgłosy.

- Wygląda na to, że trwa uczta - powiedział Boba. Weszli do środka.

Oceniając po bałaganie, uczta niemal się skończyła. Puste talerze pokrywały długi stół. Goście odpoczywali w krzesłach albo kręcili się, rozmawiając. Na swym tronie siedział Jabba. Łapczywie jadł pełne ręce robaków. Od czasu do czasu popijał z bulgoczącego wężyka. Potem beknął i roześmiał się.

- Wygląda na to, że przegapiliśmy kolację.

- Nie - powiedziała Ygabba i wskazała na coś - spójrz.

Na końcu stołu, najbliżej Jabby wciąż znajdował się szereg talerzy, na każdym znajdowało się kolorowe ciasto. Kilka z nich było ozdobione okołodygami. Boba spojrzał na nie a następnie na Jabbę.

- O najpotężniejszy z Huttów - krzyknął, podchodząc do tronu - Zrobiłem, jak poleciłeś.

Jabba spojrzał na niego, jakby był kolejnym wijącym się robakiem. I wtedy zobaczył ozdobną czapkę, którą Boba trzymał przed sobą.

- Daj mi to - zażądał Jabba.

Boba podał mu czapkę, Jabba ją wziął. Uniósł ją pod światło. Uważnie jej się przyjrzał, nawet ją powąchał.

- Śmierdzi zdradą - ogłosił - Śmierdzi Gilramosem Libkathem!

Będący za Jabbą Bib Fortuna wyszeptał - Ale czy możemy być pewni, że nie żyje?

Jabba spojrzał na niego pogardliwie - Żaden Neimoidianin nie rozstałby się ze swoją czapką!

Nachylił się i wrzucił ją do dymiącego kociołka. Płomienie się podniosły i po chwili czapka była wspomnieniem, pozostały tylko prochy.

- Dobrze się spisałeś - oznajmił Jabba, po czym jego oczy się zwięziły - ale co z Durge'em?

Boba potrząsnął głową - Czy widzisz go tutaj, o Wielki Jabbo? - zapytał głośno - Zawiódł. A ja... ja zatriumfowałem.

Jabba spojrzał na niego i skinął głową. Uniósł ręce w geście skierowanym do gości - Wszyscy, słuchajcie! Ten młody wojownik wykonał zadanie tam, gdzie inni polegli! Powinna trafić do ciebie wielka nagroda, ty... - spojrzał na Bobę - Jak się nazywasz, Mandalorianinie?

- Boba. Boba Fett.

- Boba Fett! - powtórzył Jabba.

Wszyscy wokół Boby w pomieszczeniu klaskali. - Nieźle - oznajmiła Ygabba, dając mu przyjacielskiego kuksańca.

- Dziękuję Ci, Jabbo - powiedział Boba, kłaniając się. Lepiej o tym nie zapominać! pomyślał.

- Zadbaj o jego zapłatę - polecił Jabba Bibowi Fortunie.

Twi'lekański majordomus przytaknął. Zszedł z platformy, na której spoczywał tron i podszedł do Boby. Wręczył mu świecący czip.

- Twoja zapłata - powiedział.

Boba zabrał czip. Zdjął hełm i chwycił pod ramię. Patrząc na czip, jego oczy się rozszerzyły. To wystarczyło, by wyposażyć *Slave'a I* ze trzy razy! pomyślał.

- Mam dla ciebie inne zadania... wiele innych zadań - zadudnił Jabba.

Boba przytaknął. Zrobił krok do tyłu, Ygabba obok niego.

- Myślisz, że możemy teraz coś zjeść? - wyszeptala.

- Mam nadzieję - odpowiedział także szeptem.

Spojrzał ponownie w górę na Hutta Jabbę, ale uwaga przywódcy gangu była już skupiona na innych kwestiach.

- Szybko - powiedziała Ygabba, popychając Bobe ku stołowi - Nim zleci ci jakieś zadanie!

Ale gdy podeszli do stołu, Ygabba posmutniała. Boba spojrzał na nią, następnie na talerze. Na wszystkich spoczywały desery, ciasta, puddingi, galaretki, placki.

- Nie jesteś głodna? - zaczął - Myślałem, że powiedziałaś...

Nagle Ygabba zbladła. Patrzyła przed siebie, dysząc.

- Tato! - krzyknęła.

Boba odwrócił się i zobaczył stojącą u końca stołu kruchą postać. Miała na sobie jasnozielone ubranie kucharza i czapkę. W ręce trzymał ozdobny Vortexiański nóż do ciasta. Gdy spojrzał na Ygabbę, także zbladł i wykrzyknął - Córko!

Boba patrzył, jak obydwójce się obejmują, Ygabba płakała, podobnie jak Gab'borah.

- Jak to możliwe? zapytał stary mężczyzna - Spojrzał za nią, ku stojącemu Bobie - Ty...?

Ygabba przytaknęła - To on, ojciec. Ocalił nas wszystkich. Przed Gilramosem Libkathem.

Libkath - mruknął Gab'borah. Wyglądał, jakby pogrążył się we wspomnieniach - Pięć lat temu ją porwał. To było, zanim Jabba sprowadził mnie tutaj, jako swego szefa...

Sięgnął cienką ręką ku Bobie Młodzieńcze, jestem ci winny swe serce - powiedział - I życie mej córki. Dziękuję.

Boba wzruszył ramionami, po czym się uśmiechnął - Nie ma sprawy.

Gab'borah machnął na niego, by podszedł bliżej - Podejdz - powiedział.

Wskazał na ciasto, wysokie jak Boba i pokryte miętowym lukrem oraz strąkami wanilii. Na szczycie znajdował się Zizzibboński trufel błyszczący niczym klejnot.

Boba postawił swój hełm na podłodze. Schował czip kredytowy do kieszeni, bezpiecznie obok książki ojca. Za nim rozgrzmiał głos.

-Nie rozpraszaaj sie zbyt, młodzieńcze! - Jabba wskazał na niego - Jutro rozpoczynasz nowe życie!

Boba przytaknął. Pomyślał o oczekującym na niego w porcie Niewolniku I. A potem patrzył jak Gab'borah zrywa soczystego trufla z tortu i podaje mu go.

- Jedz! - polecił.

Boba wziął przysmak, uśmiechając się.

- Dziękuję - powiedział.

W końcu! Polecenie, które wykonał z przyjemnością.

Usłyszał śmiech Jabby i wiedział, że w końcu odnalazł swą przyszłość.